GAZETA BEZPŁATNA - BIERZ I CZYTAJ DO WOLI!

panorama OPOLSKA

GRUDZIEŃ 2009
NR 12 (232)

PEDIATRZY ALARMUJĄ: GORZEJ JUŻ BYĆ NIE MOŻE

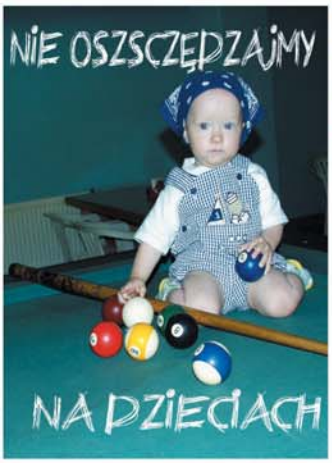

Jeszcze niedawno było inaczej

CORAZ MNIEJ ŚWIĄT W ŚWIĘTACH

Podzieliliśmy się sucharami zamiast opłatkiem. Nie wymawialiśmy żadnych życzeń, każdy z nas aż za dobrze wiedział, że życzymy sobie powrotu z tej strasznej góry. Szprotki zastąpiły nam karpia.

WIGILIA NA DIEBELSKIM SZCZYCIE

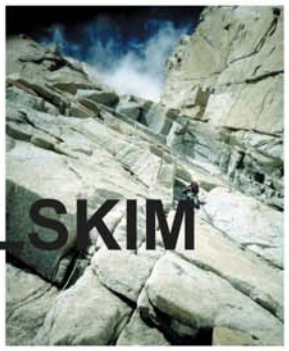

GDYBY ZWIERZĘTA MÓWIŁY

Indianie obserwowali przyrodę i zwierzęta, które uważali za swych braci. Często utożsamiali się z nimi, podpatrując ich zachowania. Sprawdź jaką przyszłość ci przewidzieli.

HOROSKOP INDIAN

DRODZY MIESZKAŃCY WOJEWÓDZTWA OPOLSKIEGO

Zwracamy się do Państwa z serdecznymi życzeniami spokojnych, pełnych rodzinnego ciepła i radości świąt Bożego Narodzenia. Życzymy wszystkim Opolanom pokoju, miłości i szczęścia, a u progu Nowego 2010 Roku także spełnienia najskrytszych marzeń. Niech ten rok będzie łaskawy dla mieszkańców Śląska Opolskiego i obdarzy nas wszystkich zdrowiem, wzajemną życzliwością I wszelką pomyślnością.
Wesołych Świąt i Do Siego Roku!

Przewodniczący Sejmiku Województwa Opolskiego
Bogusław Wierdak

Marszałek Województwa Opolskiego
Józef Sebesta

Wojewoda Opolski
Ryszard Wilczyński

ŚWIEŻE KANAPKI I SAŁATKI

BoMME

BEZ KONSERWANTÓW

realizujemy zamówienia dla sklepów, szkół i firm, na szkolenia, kursy i bankiety

77 457 09 99, 509 317 282

REKLAMA

DO GÓRY NOGAMI

Kadzidło dobre na grypę

Krajowy konsultant do spraw chorób zakaźnych przewiduje wystąpienie jeszcze dwóch fal wzmożonych zachorowań na grypę. Mają one być w dużej mierze niezależne od standardów służby zdrowia, co pozwala optymistycznie spojrzeć w przyszłość.

Według prof. Andrzeja Horbana pierwszej fali należy się spodziewać podczas świąt, gdy nastąpi zdecydowanie większy ruch ludności, a w konsekwencji także wirusów przenoszących chorobę. Żeby uchronić się przed atakiem, najlepiej po prostu nie wychodzić z domu. Dla większego bezpieczeństwa można opuścić żaluzje i do sylwestra nie otwierać okien.

Kolejne uderzenie ma nastąpić za jakieś dwa, trzy miesiące, lecz w tym przypadku wiele będzie zależeć od woli niebios. Jeśli chwycą siarczyste mrozy, to wirus skona w konwulsjach. Jeśli natomiast nadejdzie ciepła wiosna, zagrożenie znacznie wzrośnie i możemy ataku nie przeżyć, ponieważ będziemy skazani na opiekę medyczną.

Niedawna śmierć mieszkanki Bartoszyc po raz kolejny dowiodła, że służba zdrowia jest ostatnią instancją, na którą pacjent może w Polsce liczyć. Kobieta była odprawiana przez dwóch lekarzy z osiedlowej przychodni, którzy uznali, że powinna odpoczywać w swoim łóżku, a nie zawracać im głowę. Gdy objawy grypy się nasiliły, mąż próbował wezwać pogotowie. Dyspozytorka odmówiła wysłania karetki. Chwilę później nastąpił zgon.

Minister zdrowia Ewa Kopacz zapewnia, że resort dołoży wszelkich starań, żeby wyjaśnić okoliczności tragedii, lecz bardziej przekonująco brzmią w tym przypadku słowa Jurka Owsiaka, który nie bawiąc się w dyplomację nazwał rzeczy po imieniu. Służba zdrowia znajduje się w stanie katastrofy, a etyka lekarska przeżywa coraz głębszą zapaść. Opieszałość i tumiwisizm stają się obowiązującą normą.

Moja znajoma obudziła się rano z potwornym bólem głowy i podwyższoną temperaturą. Koło południa nasiliły się ataki kaszlu, wystąpiły nudności. Pod wieczór czuła się generalnie źle, zadzwoniła więc do pobliskiego szpitala. Usłyszała, że ostry dyżur ma przychodnia na drugim końcu miasta, więc powinna się tam właśnie udać, mimo że szpital przy ul. Witosa jest na wyciągnięcie ręki.

Pokonała więc taksówką parę kilometrów tylko po to, aby się dowiedzieć, że dyżur (jak tam ostry, całkiem zwyczajny!) zacznie się po godz. 20, zaś teraz (godz. 18) może jechać do przychodni rejonowej. Albo zaczekać dwie godziny, aż lekarz – jak najbardziej obecny za drzwiami dyżurki – wejdzie w swój grafik.

W przychodni rejonowej załapała się na wizytę w ostatniej chwili przed zamknięciem. Czekając pod drzwiami gabinetu kasłała i kichała salwami, gdy więc weszła do środka, lekarka od razu postawiła diagnozę: kaszel krtaniowy. Ale przecież panuje grypa – zwróciła uwagę kobieta. Grypa o tej porze roku zazwyczaj panuje – żachnęła się lekarka i wypisała antybiotyk.

Pamiętając, że przy grypie antybiotyk nie skutkuje, znajoma wrzuciła receptę do kosza i zaczęła się leczyć domowym sposobem swojej babci. Czosnek, miód i witaminy. Może dzięki temu przeżyła.

Służby sanitarne kraju apelują do księży, aby przed świętami zmniejszyli zużycie w kościołach święconej wody, gdy może przenosić zarazki grypy. W sprawie kadzidła sanepid na razie się nie wypowiedział. Rozgrzany dym z pewnością działa antywirusowo. Może więc należałoby stosować go na szerszą skalę i tym samym odciążyć przychodnie oraz szpitale.

JAN PŁASKOŃ

Z przymrużeniem oka

TYLKO TAKICH PREZENTÓW, JAKIE SOBIE WYMARZYLIŚCIE, ŻYCZY MIKOŁAJ I REDAKCJA PANORAMY OPOLSKIEJ

SAMOBÓJSTWO PO ZABÓJSTWIE

Tragedia rozegrała się ok. godz. 22. Mieszkaniec Kalinowic, 52-letni Sylwester J. zabił konkubenta swej żony 72-letniego Joachima R., a następnie wrócił do domu i popełnił samobójstwo.

Sylwester J. był osobą znaną w środowisku. Prezes OSP w Kalinowicach, w poprzedniej kadencji radny strzeleckiej rady Miejskiej, działacz społeczny. Joachim R. kilka lat temu sprowadził się na Opolszczyznę z Niemiec. Wydzierżawił budynki i ziemię po upadłym PGR w sąsiednim Kalinowie. Gospodarując na 600 hektarach, dawał zatrudnienie 7 ludziom. Cieszył się dobrą opinią i poważaniem mieszkańców.

Żona odeszła od Sylwestra J. we wrześniu ubiegłego roku. Nie dawał po sobie poznać jak bardzo przeżywa to rozstanie. Był pogodny i zawsze uśmiechnięty. Jeszcze w ubiegłym tygodniu złożył wizytę jednemu ze strzeleckich biznesmenów, prosił o wsparcie finansowe dla OSP. Nic nie wskazywało na to, że może się posunąć do zbrodni. Nigdy zapewne nie wyjaśni się, co w czwartkowy wieczór spowodowało, że zabrał ze sobą nóż i pojechał do domu Joachima R. Po tragedii policja odkryła w samochodzie Sylwestra J. butlę z gazem. Być może przygotowywał dużo gorszy finał.

Joachim R. i żona Sylwestra J. siedzieli przy kolacji. Zdesperowany mężczyzna ugodził mężczyznę prosto w serce i wybiegł szybko z mieszkania. Zaalarmowana przez kobietę policja zarządziła natychmiastową blokadę dróg. Gdy policjanci weszli do domu zabójcy, zobaczyli koszmarny widok. Sylwester J. powiesił się w przedpokoju.

Potrącili, ratowali, wyrzucili na pobocze

BRACIA NA BANI

6 grudnia około 3 w nocy policjanci z Krapkowic zostali powiadomieni o znalezieniu przy drodze w Dobrej mężczyzny z rozległymi obrażeniami ciała. Na rannego natknęli się dwaj bracia, mieszkańcy Strzeleczek. Według ich relacji mężczyzna został potrącony przez samochód, który musiał oddalić się z miejsca wypadku. Wyjaśniając okoliczności zajścia policja ustaliła, że to właśnie bracia są sprawcami tragedii.

Pierwszy raz 50-latek pad ich ofiarą w Strzeleczkach. Potrącili go wracając do domu samochodem, a chcąc udzielić pomocy, postanowili przewieźć poszkodowanego do krapkowickiego szpitala. W miejscowości Dobra zamroczeni alkoholem wjechali autem w mur. Wyciągnęli rannego na pobocze i ukryli samochód, a następnie zgłosili policji odnalezienie nieprzytomnego człowieka.

Niedługo potem zostali zatrzymani przez policjantów, kiedy z jednej z bocznych uliczek wyjeżdżali rozbitym vw golfem. Kierujący samochodem 20-latek miał w organizmie blisko 2 promile alkoholu, a jego 21-letni brat ponad 2,5 promila.

Poszkodowany mężczyzna przebywa w stanie krytycznym w szpitalu. Braciom grozi kara do 8 lat pozbawienia wolności.

JP

PANORAMĘ OPOLSKĄ MOŻNA POBRAĆ W FORMACIE PDF Z INTERNETU - www.panoramaopolska.pl

R 077 44 25 748
reklama@panoramaopolska.pl
REKLAMA W PANORAMIE

MATURZYŚCI 2010

To autentyczne fragmenty wypracowań uczniów, którzy w tym roku przystąpią do matury. Śmiać się czy płakać?

Podczas tych zmian zostały zaczęte zabieranie majątków.

Jej ciało jest porzucone i zostawione samemu sobie.

Wiatr owiał Cezarego i zaczął ostrzegać Hipolita.

Ojciec powiedział mu o szklanych domach w miastach, które były bardzo kolorowe.

Po przyjeździe czekała na Barykę i Wielosławskiego woźnica zaprzężona w czwórkę koni z powozem dwuosobowym i sługą.

Dom Hipolita był obrośnięty winoroślami z dużym gankiem.

Hipolit zaczął pomagać Maciejowi, w gruncie czego doszło do zburzenia hierarchii.

Cezary zachował się tak, iż wiedział, jak skończyło się życie jego matki, która też posiadała majątek, a później umarła z wykończenia pracami.

Cezary widzi, że matka ma ucięty palec wraz z pierścionkiem.

Służba nie nadanżała z otwieraniem napojów.

Wokulski to akceptował, był w ślepej miłości, robił dla niej cokolwiek mógł i na co wystarczyło mu pieniędzy.

Jadąc pociągiem Wokulski i panna Izabela wraz ze Starskim, Izabela zaczęła flirtować ze Starskim w języku angielskim.

panorama OPOLSKA
MIESIĘCZNIK
www.panoramaopolska.pl

Redaktor naczelny: Jan Płaskoń
Zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: Agnieszka Malik
Sport: Romuald Idzikowski

Wydawca: OPOLMEDIA

45-049 Opole
ul. J. Dwernickiego 4 lok. 2
Tel./fax 077 44 25 748

panorama@panoramaopolska.pl
redakcja@panoramaopolska.pl
reklama@panoramaopolska.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania niezamówionych tekstów. Nadesłanych materiałów nie zwracamy. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.

Andrzej Wajda PRAWIE OPOLANINEM

HONOROWE OBYWATELSTWO DLA WYBITNEGO REŻYSERA

Andrzej Wajda został honorowym obywatelem Opola. Rada Miejska nadała mu tę godność prawie dwa lata temu, ale wybitny reżyser dopiero teraz dysponował czasem, żeby tytuł na miejscu odebrać. Otrzymał go z inspiracji stowarzyszenia Rodzin Katyńskich w dowód wdzięczności za przedstawienie historycznej prawdy w filmie „Katyń". Uroczystości odbyły się w święto 11 listopada, a mistrz okazał się uroczym człowiekiem, który bez jakiegokolwiek dystansu rozmawiał z opolanami w sali kinowej, jak też podczas spaceru po ulicach miasta.

Opowiadał anegdoty o aktorach, z którymi pracował i o zdarzeniach w czasie realizacji swoich dzieł. Jedna z nich: podczas zdjęć do „Sprawy Dantona" wypatrzył w Paryżu podwórze, które idealnie mogło „zagrać" w jakiejś scenie. Producent poszedł porozmawiać z właścicielką kamienicy, lecz wrócił z nietęgą miną. Okazało się, że przodkowie starszej pani zginęli w czasie rewolucji francuskiej. Gdy usłyszała nazwisko Danton, zapomniała o dobrych manierach – wskazała drzwi i rzuciła stekiem przekleństw.

Wajda z nostalgią i humorem opowiadał o realizacji swoich pierwszych filmów. W należącym dziś do narodowej klasyki „Kanale" cenzura dokonała wielu ingerencji, ale przymknęła oko na końcową sekwencję. Gdy droga ucieczki zamyka się ostatecznie przed powstańcami Warszawy, docierają oni do kraty, zza której widać nurt Wisły. Widz doskonale wiedział jakie wojska czekały na prawym brzegu aż powsytanie się wykrwawi.

– Najważniejszym filmem pozostanie dla mnie „Popiół i diament", a Zbyszek Cybulski największym polskim aktorem – mówił Wajda. – Obraz przetworzono właśnie na zapis cyfrowy, który świetnie oddaje niuanse wypłukane przez czas z celuloidowej taśmy. Zbyszek w tej wersji mówi do nas z ekranu jakby nigdy stąd nie odszedł.

JP

Będzie TURAWA PARK

26 listopada nastąpiło wmurowania kamienia węgielnego pod budowę Parku Turawa – kolejnego kompleksu handlowego w Opolu, a formalnie już na terenie gminy turawskiej, w pobliżu wschodniej obwodnicy stolicy województwa. Zadowolenia z faktu uruchomienia inwestycji nie krył przede wszystkim wójt Waldemar Kampa. Oznacza ona bowiem coroczny wpływ miliona złotych podatku do gminnej kasy.

– Dziękuję wszystkim, którzy przestali nam przeszkadzać – zakończył Kampa z przekąsem swoją mowę powitalną. Większość zebranych pojęła aluzję. Już kilka lat temu gmina Turawa zmieniła plany zagospodarowania przestrzennego, ale władza Opola konsekwentnie utrudniały rozpoczęcia budowy, stawiając żądania kosztownych rozwiązań komunikacyjnych. W efekcie wycofał się pierwszy inwestor, ale w końcu dzięki zaangażowaniu marszałka województwa wypracowano kompromisowe rozwiązanie. Częścią projektu będzie budowa drogi łączącej znajdujące się w pobliżu Wojewódzkie Centrum Medyczne z obwodnicą Opola.

Park Handlowy Turawa, finansowany przez fundusz inwestycyjny Standard Life, powstanie na działce o powierzchni 15 hektarów. Realizacja projekt autorstwa biura architektonicznego Czora&Czora będzie kosztować 75 mln euro. Na 41 tys. m kw. powstanie ponad 70 lokali handlowych. Obiekt będzie posiadał 1600 miejsc parkingowych. Generalnym wykonawcą obiektu jest firma Skanska. Otwarcie parku handlowego przewidziano na ostatni kwartał 2010 roku.

W Turawa Park będzie obecnych wiele znanych marek m.in. Super-Pharm, Wojas, CCC, City Sport, Avans, Camaieu, Sephora, jeweller Milenium, Rossmann, Halfords, Lovely Look. Głównymi najemcami powierzchni będą Carrefour i Praktiker.

RP

Kamień węgielny wmurowany - projekt ma się zmaterializować na jesień przyszłego roku

PRZYWRÓCONA PAMIĘĆ O STAROŚCIE MICHAELU VON MATUSCHCE

Przepłacił życiem sprzeciw wobec Hitlera

Na budynku przy ul. Krakowskiej 53 w Opolu odsłonięto tablicę upamiętniającą postać hrabiego Michaela grafa von Matuschki – starosty opolskiego do 1933 r., powieszonego w Berlinie przez reżim hitlerowski za działalność przeciwko zbrodniczemu systemowi. Starania o przywrócenie pamięci o tym niezwykłym człowieku trwały aż pięć lat. Mnożyły się przeszkody biurokratyczne, a sfinalizowanie inicjatywy utrudniał fakt, że gmach przedwojennego starostwa należy dziś do kilku właścicieli, którzy musieli wyrazić zgodę na montaż tablicy. Obok Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej mieszczą się tu lokale handlowe. Na marginesie: reprezentatywny budynek jest oblepiony tak ohydnymi szyldami, że należałoby zapytać – za co bierze pensję architekt miejski?

O tablicę walczyło wiele osób, a zwłaszcza prof. Joanna Rozstropowicz, wicestarosta Krzysztof Wysdak i poseł Ryszard Galla. Warto o tym pamiętać, gdyż w Niemczech powstał komitet, który stara się o rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego Matuschki. Jeśli przedsięwzięcie się powiedzie, opolska inicjatywa może mieć niespodziewanie wielu ojców. Także tych, którzy byli jej przeciwni.

Michael Matuschka urodził się w Świdnicy w 1888 r. Starostą powiatu opolskiego – największego w ówczesnej prowincji górnośląskiej – był od roku 1922. Angażował się w życie społeczne mieszkańców, wspierał budowę szkół i mieszkań, zyskują poparcie zarówno Niemców, jak i Polaków zamieszkujących podzielony Śląsk. Gdy w lipcu 1933 r. narodowi socjaliści usiłowali umieścić na budynku starostwa hitlerowską flagę, Matuschka wydał im wojskową komendę: w tył zwrot i odmaszerować!

Wkrótce został pozbawiony urzędu, musiał opuścił Opole. Do 1936 r. był zatrudniony jako pracownik pomocniczy w ministerstwie spraw wewnętrznych Prus. Później mieszkał we Wrocławiu i Katowicach. Do końca życia nie krył się z antyfaszystowskimi poglądami. Wykorzystywał prywatne kontakty, żeby ratować Żydów i Polaków przed wywózką do obozów koncentracyjnych i na przymusowe roboty.

Został aresztowany w lipcu 1944 r. i oskarżony o współudział w przygotowywaniu zamachu na Adolfa Hitlera, mimo że nie znaleziono na to dowodów. Aparat bezpieczeństwa III Rzeszy wszedł jednak w posiadanie listu, z którego wynikało, że spiskowcy przygotowują dla Matuschki eksponowane stanowisko w rządzie, który powstanie po śmierci fuhrera. Były starosta opolski został stracony w Berlinie w sierpniu 19444 r. Wraz z nim pozbawiono życia ponad 200 przeciwników reżimu.

Na uroczystość odsłonięcia tablicy przyjechał do Opola najstarszy syn hrabiego – Mario graf von Matuschka. Nie krył wzruszenia, stojąc przed budynkiem, w którym jego ojciec nie tylko pracował, ale też mieszkał z rodziną. Tu właśnie na I piętrze urodził się w 1931 pierworodny potomek. Odsłaniając tablicę (na zdjęciu) wykonaną według projektu Adolfa Panitza, Mario wyraził przekonanie, że pamięć o ojcu przyczyni się do zaleczenia ran z polsko-niemieckiej przeszłości.

On sam w demokratycznych Niemczech kontynuował dzieło zamordowanego przez reżim starosty. Był ambasadorem w Pakistanie, Japonii i przy OECD, pracował w konsulatach w Austrii i USA.

JP

Mario graf von Matuschka - syn przedwojennego starosty opolskiego

PO CO NAM ŚWIĘTY MIKOŁAJ?

Postać Św. Mikołaja w jakimś sensie ożywia uśpioną w nas dziecięcość, potrzebę wiary, że jest gdzieś ktoś, kto o nas myśli, zna nasze najskrytsze, największe marzenia i pragnie je spełnić, że dla tego kogoś jesteśmy ważni bez względu na to, czy jesteśmy bardziej, czy mniej utalentowani, bogaci, czy biedni i dla kogo nie ma absolutnie żadnego znaczenia, czy dobrze radzimy sobie w życiu. To postać, która odpowiada na naszą potrzebę bycia dostrzeżonym, docenionym i bezinteresownie obdarowanym.

Podarki to najsilniejsze skojarzenie z postacią Mikołaja. Dorośli także ich potrzebują, nawet jeśli tak często temu zaprzeczają. Ponieważ – jak myślą – nie wypada im przyznać się do tego, że wciąż czekają na prezent od Mikołaja, świętują mikołajki z kolegami z pracy lub w gronie przyjaciół. Zakładają czerwone czapeczki z pomponami i po prostu dobrze się bawią. Daje im to namiastkę tej frajdy, którą kiedyś przeżywali.

Potrzebujemy Św. Mikołaja również po to, by móc wcielać się w jego rolę: dosłownie i w przenośni. Któż potrafiłby odmówić sobie przyjemności doklejenia siwej brody i wąsów, włożenia czerwonej czapy i kurtki to przecież jedno z najlepszych przebrań. A prawie wszyscy dorośli lubią się przebierać, choć rzadko się to tego przyznają. Przebranie daje możliwość bycia przez chwilę kimś innym niż się jest na co dzień, pokazania się od innej strony, ujawnienia takiej części siebie, która na co dzień jest mniej eksponowana, którą zwykliśmy powściągać, kontrolować. Przebrani za Mikołaja możemy trochę poszaleć, dać wyraz swojemu poczuciu humoru i upust fantazji, wypróbować swoje talenty aktorskie, a przede wszystkim sprawić dużo radości tym, których kochamy.

Dla większości dorosłych ważniejsza niż otrzymywanie prezentów w Święta jest możliwość obdarowania najbliższych. Tradycja związana z postacią Św. Mikołaja jest tak niezwykła, ponieważ składają się na nią gesty, dzięki którym możemy pokazać innym, jak są dla nas ważni i wyjątkowi, ile znaczą w naszym życiu.

Św. Mikołaj jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych symboli Świąt. Jego wizerunek obecny w reklamach i witrynach sklepowych już pod koniec listopada wprowadza w nastrój radosnego podniecenia, zapowiada czas relaksu, spotkań z bliskimi, oderwania się od codzienności, dzięki czemu możemy pogodniej znieść przygnębiający koniec jesieni i początek zimy.

MAŁGORZATA BABIUCH-HALL

BOŻE NARODZENIE to coraz mniej świąt i coraz więcej komercji. Jeszcze nie tak dawno było całkiem inaczej. Czekało się na duchy bliskich, przepowiadało się pogodę, powodzenie i miłość na następny rok

CORAZ MNIEJ ŚWIĄT W ŚWIĘTACH

NA ŚWIĄTECZNYCH JARMARKACH CAŁKIEM DOBRZE SPRZEDAJĄ SIĘ AFRYKAŃSKIE WYROBY

W Kościele powszechnym Boże Narodzenie ustanowiono w terminie, jaki obowiązuje do dziś, w poł. IV w. (chrześcijaństwo zyskało wtedy w Rzymie status religii państwowej). Najstarsze wzmianki o obchodach tego święta w dniu 25 grudnia pochodzą z 354 r. – jest to adnotacja w chronografie rzymskim (kalendarzu świąt kościelnych) dotycząca sprawowanej w tym czasie liturgii.

Bardzo znamienny jest fakt, iż czas, na który przypadają obchody Bożego Narodzenia, to pora przesilenia zimowego. Zapewne już od zarania dziejów moment ten był szczególny, bowiem tego typu zjawiska nigdy nie pozostają obojętne w sferze kulturowej i zawsze wiążą się z nimi szczególne obchody. Przesilenie zimowe w większości kultur było okazją do świętowania odradzania się Słońca, zwycięstwa światła nad ciemnością, rozpoczęcia nowego cyklu słonecznego. I tak w starożytnym Rzymie obchodzono Saturnalia, wśród ludów germańskich Jul, u Słowian Święto Godowe, a w Persji narodziny bóstwa Słońca - Mitry. Uważa się, że święta Bożego Narodzenia miały być właśnie przeciwwagą dla odprawianego w tym czasie wielkiego solarnego święta narodzin Mitry.

NOC CUDÓW I NIEZWYKŁOŚCI

Wigilia jako okres przygotowań świątecznych, jako moment przejściowy między codziennym a niezwykłym czasem, była dniem szczególnym. Według legend działy się tego wieczoru niestworzone rzeczy. Wierzono, że w wigilię zakwita kwiat paproci (tak jak w noc świętojańską), ziemia drży, otwiera się i ukazuje ukryte w niej skarby, kamienie przesuwają się i podskakują z radości, na moment zazieleniają się drzewa, zwierzęta mówią ludzkim głosem i mogą przepowiadać przyszłość, a woda w rzekach i studniach zamienia się w miód lub płynne złoto i srebro.

Zwyczaje wigilijne obfitują również w liczne elementy zaduszne, identyczne z praktykowanymi w dniu Zaduszek (2 listopada). Wierzono, że w wigilię dusze zmarłych mogą przybyć z zaświatów na ziemię i przebywać wśród swoich bliskich. Tego wieczoru zostawiano uchylone furtki i drzwi wejściowe, aby duchy mogły bez przeszkód wejść do domostwa. Trzeba było ostrożnie się zachowywać – nie spluwać na podłogę, nie wylewać pomyj bez ostrzeżenia, nie ciąć sieczki, nie skręcać powrozów, nie prząść, nie tkać, odgonić duszę ze stołka zanim się na nim usiadło – wszystko to miało służyć ochronie duszyczek, które jako niewidoczne, narażone były na niebezpieczeństwo.

Przywoływano je również na wieczerzę wigilijną. Dodatkowe nakrycie (lub dawniej – dodatkowa łyżka) interpretowane dzisiaj jako miejsce dla niespodziewanego, strudzonego wędrowca, jest niczym innym jak nakryciem przygotowanym dla zmarłych przodków. Pod stołem rozcieleno słomę, aby duchy miały wygodnie, a po wieczerzy nie sprzątano ze stołu i pozostawiano resztki jedzenia oraz opłatka, aby mogły się posilić.

UMARLI WRACAJĄ W ŚWIĘTA

Na tradycję wigilijną składają się także liczne elementy noworoczne. Wierzono, że przebieg tego dnia decyduje o przebiegu całego roku. Starano się więc przeżyć go w zgodzie, w dobrym nastroju, nie płacząc i nie zamartwiając się. Upominano również dzieci, aby były grzeczne. Wstawano wcześnie rano, żeby zapobiec lenistwu i żeby cały przyszły rok był energiczny i rześki. W ciągu dnia nie można było ucinać sobie drzemki, aby uniknąć chorób i żeby zboże nie kładło się w polu. Obmywano się w zimnej wodzie przyniesionej ze studni, bądź w strumieniu – miało to zapewnić zdrowie i urodę.

Mężczyźni rankiem udawali się na połów lub na polowanie (zalecano nawet kłusowanie) aby przez cały rok szczęście dopisywało rybakom i myśliwym. Powszechny był również zwyczaj pozorowanych lub drobnych kradzieży – miały one zapewnić bogactwo i powodzenie, zwłaszcza w transakcjach handlowych. Nie można było nic pożyczać, aby szczęście i dostatek nie uciekały z domu.

Siano pod obrusem i pod stołem, kładzione na pamiątkę urodzin Jezusa w stajence, miało pierwotnie sprzyjać pomyślnej wegetacji roślin, podobnie jak zielone gałęzie drzew iglastych wtykane za święte obrazy, przytwierdzane do ścian, furtek i płotów domostwa. Resztki wigilijnych potraw i opłatka dawano do zjedzenia zwierzętom, aby dobrze się chowały i były zdrowe.

Ważnym elementem świątecznego wystroju był podłaźnik, czyli czubek iglastego drzewka, gałąź lub druciana obręcz czy słomiana tarcza, przybrana zielonymi gałązkami. Podłaźnik dekorowano jabłkami, ozdobami z opłatka lub papieru, złoconymi nasionami, orzechami. Wieszano go u pułapu nad stołem, gdzie oprócz funkcji ozdobnej i symbolu wiecznego życia, pełnił znaczącą rolę we wróżbach miłosnych, oraz wróżbach dotyczących zdrowia i kondycji domowników.

Na przełomie XVIII i XIX wieku miejsce i rolę podłaźnika oraz snopów zboża powoli zaczęła przejmować choinka, zaszczepiona na polskim gruncie przez rodziny ewangelickie oraz mieszczan niemieckiego pochodzenia. Choinki pojawiły się najpierw w domach polskiej inteligencji i mieszczaństwa, a wśród ludności wiejskiej najpierw na terenach znajdujących się pod silnymi wpływami niemieckimi – na Pomorzu, Śląsku, Warmii i Mazurach (przełom XIX i XX w.) Na terenach Polski centralnej i południowej jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym choinki były rzadkością. Upowszechniły się dopiero po II wojnie światowej.

Wigilia to czas wróżb dotyczących pogody (gwiaździste niebo zwiastowało pogodny rok i urodzaj, widoczna droga mleczna wróżyła obfitość mleka) oraz wróżb miłosnych (panny i kawalerowie wróżyli sobie ze źdźbła siana wyciągniętego spod obrusa, dziewczęta nasłuchiwały szczekania psa, które mówiło z której strony nadejdzie przyszły ukochany). Wróżono też na zdrowie i życie domowników – obserwowano np. cienie podczas wieczerzy (jeżeli były zamazane zwiastowało to chorobę) lub dym zdmuchniętej świecy (jeśli ulatywał w kierunku drzwi albo okna znaczyło to, że w rodzinie nastąpi śmierć).

OPŁATKI DLA ZWIERZĄT

Opłatek, bez którego nie wyobrażamy sobie dzisiejszych świąt, pojawił się w polskiej tradycji najprawdopodobniej na przełomie XVIII i XIX wieku – najpierw na dworach szlacheckich, potem również w innych stanach, w tym także na wsi, oprócz terenów Warmii i Mazur (tam dopiero w XX wieku dzięki katolickim księżom). Wierzono, że opłatek ma właściwości dobroczynne i lecznicze a jego obecność w domu przynosi pokój i błogosławieństwo. Istniały także specjalne kolorowe opłatki dla zwierząt, często z zapieczonymi ziołami, które dawano im z resztkami potraw wigilijnych w celu zapewnienia ochrony i dobrego chowu. Wierzono, że okruch opłatka wrzucony do studni oczyszczał wodę i zapewniał zdrowie. Połamany opłatek kładziono również pod miski z jadłem – jeżeli przykleił się do dna zwiastowało to urodzaj. Z opłatka robiono ozdoby – światy, wilijki, gwiazdy – wieszano je na belkach stropowych, podłaźnikach i choinkach. Dzisiaj opłatki wkłada się do listów i kartek świątecznych i wysyła bliskim osobom na znak pamięci i przyjaźni.

Dzisiaj najbardziej oczekiwanym momentem wieczoru wigilijnego jest chwila wręczania prezentów gwiazdkowych. To jedna z najmłodszych tradycji wigilijnych w Polsce, rozpowszechniona dopiero w XIX wieku, początkowo wśród ziemiaństwa i bogatych rodzin mieszczańskich, głównie niemieckiego pochodzenia. Na wsi zwyczaj dawania prezentów jeszcze w I poł. XX wieku należał do rzadkości i tylko dzieci z zamożniejszych rodzin otrzymywały podarki w postaci pierników, jabłek czy orzechów. W zależności od tradycji prezenty przynosi Mikołaj (Polska centralna), Gwiazda (Pomorze), biały konik szemel (Warmia i Mazury), aniołek (Wielkopolska), Dzieciątko Jezus (Górny Śląsk).

W obecnych czasach wiele zwyczajów po prostu zanikło, część z nich przybrała inną formę lub zyskała nowe znaczenia w miejsce tych archaicznych, nie do końca już dzisiaj czytelnych. Niektóre przywędrowały z odmiennych kręgów kulturowych i zadomowiły się na dobre w naszej świątecznej obrzędowości – nie wyobrażamy sobie dzisiejszych świąt bez choinki, prezentów czy Mikołaja. Kultura to taka sfera życia, która jest ciągle żywa, zmienna, zaskakująca w swoich transformacjach. Tak naprawdę jest niczym innym jak lustrem, w którym odbija się ludzkość wraz ze swoimi ideami, dążeniami i rozumieniem świata.

MAŁGORZATA PRZYTUŁA, ETNOLOG
PAŃSTWOWE MUZEUM
ETNOGRAFICZNE W WARSZAWIE

Zachowania ludzi w sytuacjach ekstremalnych bywają czasem tak samo zawiłe i nieprzewidywalne jak losy pomników

PAMIĘĆ NA GRUZOWISKU

Jan Płaskoń

Adolf Schubert zginął w 1917. Podobnie Karl Guttmann, Paul Heisig, Erwin Losse, Adolf Kreisel, Richard Berger i jeszcze dziewiętnastu mieszkańców wsi Gräflich Wiese.

W 1918 nie wróciło z wojny dwudziestu mężczyzn, wśród nich dwóch o jednakowym imieniu i nazwisku. Nie wiadomo, czy Karl Klein był synem Karla Kleina. Może jego dalszym krewnym, a może to tylko przypadkowa zbieżność. Wskazówką mogłyby być daty urodzin, ale przy zabitych podano jedynie rok śmierci. Między Kleinami znalazł się Johann Zurek. Gdyby przeżył I wojnę i doczekał końca następnej, nazywałby się pewnie Żurek, Jan Żurek. Pozostając w starym miejscu zamieszkania, musiałby też zmienić adres. Z Gräflich Wiese na Łąkę Prudnicką.

Adolf Gross, Adolf Otte, Franz Heisig i Johann Sohner figurują pod rokiem1919. Znaleźli się na liście poległych, mimo że od klęski Niemiec i Austro-Węgier minęło przynajmniej kilka miesięcy. Może zmarli w domu w wyniku frontowych ran albo zostali pochowani w nieznanych miejscach, a nieśmiertelniki dotarły do rodzin z opóźnieniem. Nikt już tego nie ustali.

Połowa kamiennej tablicy nie została na razie odnowiona, więc nazwiska żołnierzy z początkowych lat wojny są nieczytelne. Jeśli czerń farby wyostrzy kiedyś litery wyżłobione w szarym granicie, dowiemy się, kto jeszcze mieszkał w Gräflich Wiese przed rokiem 1914. Taka wiedza może się przydać tylko lokalnym miłośnikom historii. Potomni być może pamiętają, ale nie mogą się nią podzielić. Uciekli stąd w styczniu 1945.

Zanim wieś znalazła się na linii frontu, pędzono przez nią w głąb Rzeszy więźniów obozu Auschwitz-Birkenau. Marsze śmierci zabiły wielu spośród tych, którzy uniknęli komór gazowych. Potem między domy wtoczyły się czołgi z gwiazdami na wieżyczkach. Rosjanie strzelali do wszystkiego, co niemieckie. Rodzina starej śląskiej szlachty Sedlnitzky von Choltitz ewakuowała się z zamku w ostatniej chwili. Zabrali tyle dobytku, ile zmieścili do sześciu walizek.

Gdyby sołdaci wiedzieli, że zamek należał do hrabiego Dietricha, który zyskał miano bezwzględnego niszczyciela i oddanego wykonawcy planów Hitlera, zamieniliby pewnie obiekt w perzynę. Jako dowódca III batalionu 16. Pułku Powietrzno-Desantowego hrabia zdobył w morderczej walce Rotterdam. Awansowany do stopnia generała-majora zrównał z ziemią Sewastopol na Krymie. A potem uległ nieprawdopodobnej przemianie. U schyłku wojny został wezwany do głównej kwatery Führera w Kętrzynie i otrzymał nominację na komendanta Paryża. „Zrozumiałem wtedy, że Hitler jest szaleńcem" – napisze po latach w książce o ocaleniu stolicy Francji. Rozkaz wodza III Rzeszy nie pozostawiał wątpliwości: można poddać jedynie ruiny Paryża. Tylko kamień na kamieniu.

Wojska alianckie były coraz bliżej, natomiast płynące z głównej kwatery żądania spalenia metropolii stawały się coraz bardziej natarczywe. Dietrich von Choltitz nawiązał kontakt z francuskim ruchem oporu, a następnie poprzez szwedzkiego konsula nakłonił dowództwo wroga, aby przyspieszyło zajęcie Paryża. 25 sierpnia 1944 r. na dworcu kolejowym Montparnasse hrabia podpisał akt kapitulacji i został jeńcem aliantów. Po wojnie zamieszkał w Baden-Baden i jeszcze długo żył z piętnem zdrajcy, niegodnym oficera, nawet barbarzyńskiej armii.

Zachowania ludzi w sytuacjach ekstremalnych bywają czasem tak samo zawiłe i nieprzewidywalne jak losy pomników.

Obelisk z nazwiskami poległych w I wojnie światowej mieszkańców Gräflich Wiese stał naprzeciw zamku Cholitzów, dwieście metrów od dziedzińca. Wystrzelony w styczniu 1945 z radzieckiego moździerza pocisk ledwie musnął narożną wieżę XIV-wiecznej twierdzy. Zamek popadł w ruinę znacznie później, w czasach Łąki Prudnickiej. Najpierw szabrownicy grabili wnętrza. Wynieśli meble i obrazy, wyszarpali z podłóg kafle. Nocami palili w komnatach ogniska. Potem państwo urządziło w szlacheckiej posiadłości stadninę. Konie miały dach nad głową, dopóki nie runęły przegnite więźby.

Z niemieckim pomnikiem krasnoarmiejscy obeszli się według obyczaju zwycięzców. Rozwalili płyty gołymi rękoma.

SPRZĄTANIE ŚWIATA PO PÓŁ WIEKU

Kiedy Łąka Prudnicka stała się skrawkiem Ziem Odzyskanych, w liczącej prawie 200 numerów wsi pozostało tylko sześć śląskich rodzin. Nie chcieli uciekać, bo uważali, że tu jest ich dom. Dopiero w latach siedemdziesiątych sentymenty przegrały z zachodnioniemiecką marką. Gierek dał im paszporty i w Łące nie został ani jeden autochton.

Pierwszy transport ze Wschodu dotarł do Łąki, gdy śladów po gąsienicach sowieckich czołgów nie porosła jeszcze trawa. Z wagonów wyszli umęczeni długą drogą Polacy, którym kazano opuścić wcielone do ZSRR województwo tarnopolskie. Mogli przebierać do woli w poniemieckich gospodarstwach. W kilka miesięcy Łąka stała się wsią repatriantów i przybyszy z centralnej Polski, szukających łatwiejszego chleba.

Irena Madera jest żoną sołtysa. Wiosną 2000 r. w szkołach przeprowadzano akcję sprzątania świata, a gruzowisko naprzeciw ruin zamku było wyjątkowo szpetne, w dodatku przy asfaltówce ze Śląska do Czech, którą podróżuje kawał Europy. Maderowa prowadzi w Łące Prudnickiej ośrodek kultury. Namówiła uczniów, żeby wspólnie zrobić porządki. Przyszło więcej dzieciaków, niż się spodziewała, bo ktoś powiedział, że pod rumowiskiem znajduje się wejście do tunelu łączącego zapuszczone miejsce z dawną twierdzą.

Wycięli chaszcze i usunęli warstwę błotnistej ziemi, w której zastygły granitowe płyty. Większa leżała frontem do spodu. Odwrócili ją i pod pajęczyną zielonej narośli ujrzeli nazwiska w pięciu kolumnach: równomiernie ułożone, jakby w wojskowym szyku.

Mniejszą płytę zdobił krzyż z ramionami zwężającymi się symetrycznie ku środkowemu punktowi. Przestrzeń między nimi wypełniały liście dębu. Na dolnym ramieniu wyryto datę – 1914, a pod krzyżem sentencję „Unseren tapferen Held" – „Naszym dzielnym bohaterom".

Dziewięć lat później Maderowa powie, że gdyby w tamten poniedziałek wiedziała, iż odkrycie zaprowadzi ją przed oblicze prokuratora, to kazałaby przykryć płyty ziemią. Niechby dalej tam leżały.

Szybko jednak prostuje: – Głupstwa z nerwów gadam. Postąpiłabym tak samo. Dokładnie tak samo jak wtedy. Niedawno byłam we Lwowie. Napatrzyłam się, jak czcimy pamięć Polaków na Cmentarzu Orląt oraz z jaką pogardą spoglądają czasem w naszą stronę Ukraińcy, gdy zapalamy przy grobach znicze. Różnica w tym, że ci tutaj nie szli dobrowolnie naprzeciw śmierci. Zabrano ich z gospodarstw i wysłano na wojnę, z którą nie mieli nic wspólnego.

Gdy zapanował trend podpisywania umów z partnerami w Europie, władze Prudnika nieprzypadkowo wybrały w Niemczech miasto Northeim. Tam właśnie po wojennych rozdarciach osiedliło się wielu autochtonów. Wiadomość o tym, że Polacy chcą restaurować tablice z nazwiskami ich poległych krewniaków, wywołała spontaniczną reakcję. Wygnani przez historię z rodzinnych domów składali się po ile kto mógł, aby materialnie wspomóc intencje nieznajomych, z którymi historia postąpiła podobnie.

W Łące powstał komitet odbudowy pomnika, a Irena Madera zorganizowała dla uczniów konkurs. Przeniesione na papier wizje zagospodarowania placu naprzeciw ruin zamku wysłano do Niemiec. Burmistrz Northeim ufundował dzieciom plecaki, kredki i flamastry.

Po upadku muru berlińskiego dawni mieszkańcy Gräflich Wiese coraz częściej przyjeżdżali poodychać światem, którego już nie było. Gdy Polska została przyjęta do zjednoczonej Europy, Maderowa wymyśliła małą integrację. Gmina zaprosiła Ślązaków z Northeim, ich dzieci oraz wnuki. Zabawa pod namiotem trwała do świtu. Ludowe piosenki niemieckie mieszały się z lwowskimi przyśpiewkami, a Karolinka szła do Gogolina w śląskiej gwarze.

Tablicę przeszlifował kamieniarz z Prudnika. Odnowił nazwiska zabitych w latach 1917–1919. Rok 1916 zaczął porządkować od środka. Z granitowej szarości wyłonili się Franz Uhmann, Franz Muller oraz Florian Stephan. Zapadał zmierzch i nie dało się odczytać kolejnego nazwiska. Johann Lindner miał poczekać do rana, ale w nocy ktoś oblał tablicę farbą.

TAK SIĘ POPLĄTAŁY LOSY

Niemieckie pomniki wywołują na Opolszczyźnie spory i konflikty od 20 lat, kiedy zaczęły wyłaniać się z niebytu po półwieczu istnienia Ziem Odzyskanych. Jedne przetrwały milczenie historii w ziemi, inne czekały w szopach i stodołach. Niektóre wzniesiono od podstaw w miejscowościach, gdzie mniejszość niemiecka miała wpływ na większość mieszkańców.

Administracja państwowa postawiła sprawę jasno: można czcić pamięć poległych, ale bez gloryfikowania symboli kojarzących się z III Rzeszą. Zastrzeżenie odnosi się zwłaszcza do hitlerowskich Żelaznych Krzyży, grawerowanych na tablicach z nazwiskami zabitych w II wojnie światowej.

W 1995 r. w Łambinowicach nieznani sprawcy obłożyli drewniany krucyfiks starymi oponami, które oblali benzyną, żeby ogień miał lepszą strawę. Tej samej nocy wymalowali na marmurowym pomniku hasła: „Pojednanie to naiwność, kłamstwo i podstęp", „Nie ma przebaczenia dla niemieckiego ludobójstwa", „Germańcom nawsiegda pomiłowania niet".

Krzyż dzieli od pomnika pięć hektarów traw i lasu. Zapuszczona gleba wymieszała się tu na zawsze z prochami narodów Europy. Pomnik zbudowała ludowa władza, aby upamiętnić tysiące ofiar hitle-

(ciąg dalszy na str. 6)

Kolumny nazwisk, ułożone jak w żołnierskim szyku

PAMIĘĆ NA GRUZOWISKU

(dokończenie ze str. 5)

rowskiego obozu. Krucyfiks wbili w ziemię miejscowi na pamiątkę męczarni Ślązaków uwięzionych w barakach po wojnie przez bezpiekę. Lammsdorf miał być przystankiem wysiedlanych do Niemiec. Dla wielu okazał się grobem.

Żeby uporządkować problem pomników, kolejni opolscy wojewodowie wysyłali w teren komisje weryfikujące zgodność emblematów z prawem. W 2003 r. zadanie takie otrzymał Norbert Lysek, wojewódzki pełnomocnik do spraw mniejszości narodowych. Media policzyły, że mimo wcześniejszych obietnic 46 obelisków odnoszących się do II wojny światowej zawiera nadal treści niezgodne z prawem. Nie usunięto z nich Żelaznych Krzyży, nie przetłumaczono na język polski niemieckich inskrypcji.

Lysek to Ślązak z dziada pradziada. – Zdawałem sobie sprawę – wspomina – że wizyta w rodzinnym Kamieniu Śląskim będzie dla mnie dramatyczna, ale nie przypuszczałem, że podrażni stare zadry. Przed pomnikiem zebrała się grupa mieszkańców. Kiedy wyjąłem aparat, żeby sfotografować Żelazny Krzyż, ktoś krzyknął: Co ty, chłopie, robisz? Przecież tu są nazwiska twoich stryjków! Ojciec by cię chyba zabił!

Stary Lysek, jak go nazywali we wsi, stracił nogę pod Stalingradem. Nie prosił się na wojnę. Został przymusowo wcielony do Wehrmachtu, tak jak wszyscy sprawni fizycznie mężczyźni z Kamienia. Brat ojca był pilotem, zginął w bitwie o Anglię. Żołnierze, którzy przywieźli jego ciało, nie pozwoli rodzinie otworzyć metalowej trumny. Drugi brat nie wrócił z kotła na Łuku Kurskim. Uwieczniono go na pomniku, ale nikt nie wie, gdzie spoczęły kości.

Ich ojciec między wojnami walczył przeciwko Niemcom w powstaniach śląskich. – Nie wiem, co by dziadek powiedział, gdyby zobaczył imiona synów pod Żelaznym Krzyżem – zastanawia się Norbert Lysek. – Tak się poplątały nasze losy.

SEKRETARZ PODZIELIŁ FOBIE RADNEGO

Farbę z tablicy w Łące Prudnickiej dało się łatwo zmyć, ale kolejne nazwiska nie były już odnawiane. Niespodziewanie zgłosił się na policję właściciel zakładu nagrobkowego z żądaniem zwrotu mienia. Kupił granitowe płyty od gminy jeszcze w 1989 r. Dał 30 tys. starych złotych. Nie zabierał ich przez dwanaście lat, bo nie były mu potrzebne, natomiast teraz chce użyć budulca na grobie swoich rodziców. Może odsprzedać, lecz za dużo więcej niż 300 nowych złotych.

Tablica z nazwiskami ofiar I wojny pojechała do zakładu. Druga została na starym miejscu.

Długo trwały targi z kamieniarzem, aż w końcu burmistrz Prudnika powiedział, że ma tego dość, ponieważ gminę nie stać na odkupienie płyt, mimo że bezprawnie je sprzedała. Sytuacja zmieniła się po wyborach. Rada gminy w 2008 r. przeznaczyła 20 tys. złotych na uporządkowanie placu i renowację pomnika, a nowy burmistrz Franciszek Fejdych udzielał już wywiadów o przykładnym pojednaniu Polaków i Niemców.

Płyta wróciła na plac przed zamkiem. Została zamontowana na nowym postumencie. Kamieniarz miał zaczynać renowację kolejnych nazwisk, gdy do sprawy wkroczyła prokuratura. Były poseł, a teraz radny Prawa i Sprawiedliwości Jerzy Czerwiński złożył zawiadomienie o zamiarze propagowania nazizmu w Łące Prudnickiej.

Prawicowy działacz nabrał podejrzeń, gdy zobaczył drugą część pomnika z wyżłobionym w kamieniu Żelaznym Krzyżem. Zanim poszedł do prokuratury, próbował nakłonić wojewodę do anulowania decyzji lokalnego samorządu. Nic nie wskórał, ponieważ rok wcześniej Wojewódzki Komitet Ochrony Walki i Męczeństwa w Opolu uznał, że pomniki z I wojny światowej mają być traktowane jako obiekty historyczne i nie można kwestionować zawartych na nich treści.

Czerwiński nie chce przyjąć do wiadomości, że krzyż z 1914 roku i krzyż nadawany przez reżim Hitlera to dwa różne symbole, a samo odznaczenie zostało wprowadzone przez króla Prus w czasie wojen napoleońskich. Nie chce słyszeć, że w czasie I wojny światowej Żelazny Krzyż cieszył się prestiżem również w szeregach polskich legionistów. Eks-poseł napisał na wojewodę skargę do sekretarza Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzeja Przewoźnika.

Prokurator przesłuchał osoby zaangażowane w renowację pomnika i nie dopatrzył się znamion przestępstwa. Mimo to prace na placu przed zamkiem zostały wstrzymane, bo sekretarz Przewoźnik podzielił fobie radnego Czerwińskiego.

NIE TRZEBA, BO ZLECĄ SIĘ SĘPY

Wiceburmistrz Prudnika Stanisław Hawron mówi, że nikt nie chce politycznej zadymy w Łące Prudnickiej. Urząd będzie więc czekał aż Przewoźnik zechce pisemnie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego wyraża się negatywnie o pomniku: – Pan sekretarz sugeruje w mediach, że najlepiej byłoby przenieść płyty na cmentarz, bo dla Polaka żaden niemiecki żołnierz nie jest bohaterem, a tak napisano na pomniku.

Hawron nie może się nadziwić, że ktoś jeszcze tak pokracznie pojmuje historię. Zwłaszcza że pomnik chcą odnowić Polacy, którzy najlepiej odczuwają ból związany z pielęgnowaniem swoich miejsc pamięci na Kresach. Niejeden mieszkaniec Łąki zaciskał zęby, gdy ukraińskie władze utrudniały renowację polskich śladów we Lwowie.

W październiku 2009 przyjechała do Łąki sejmowa Komisja Mniejszości Narodowych i Etnicznych. Po rozmowie z ludźmi we wsi posłowie wezwali ministra kultury, aby nakłonił Andrzeja Przewoźnika do udzielenia odpowiedzi, gdyż ustawowy termin minął pół roku temu.

Irena Maderowa wie, że renowację pomnika można by dokończyć bez uwzględniania stanowiska sekretarza, bo w imieniu rządu pozytywną decyzję wydał już wojewoda opolski. Nie chce jednak być znowu wzywana do prokuratury. Nie chce taniej sensacji.

Na ostatnie spotkanie autochtonów przyjechał z Niemiec mężczyzna w mocno podeszłym wieku. Płakał, trzęsły mu się ręce. Gdy oswoił się trochę z otoczeniem, powiedział, że przez sześćdziesiąt cztery lata bał się tu wrócić. W czterdziestym piątym Rosjanie zastrzelili mu ojca i na jego oczach zakopali ciało w ziemi.

Dobrze zapamiętał miejsce. Przy studni, niedaleko domu Maderów.

Pani Irena zapytała, czy chce, żeby ktoś rozkopał ziemię.

– Nie trzeba – odparł staruszek, zapalając koło studni świeczkę. – Nie trzeba, bo zaraz zlecą się sępy.

JAN PŁASKOŃ

Naukowcy twierdzą, że splot tkaniny i technika wykonania całunu znalezionego ostatnio w grobowcu w starej części Jerozolimy całkowicie różnią się od słynnego Całunu Turyńskiego. Testy przeprowadzone metodą węgla C14, wykonane na tkaninie oraz innych przedmiotach znajdujących się w nowo odkrytym grobowcu, prawie bez wątpienia wskazują, że materiał pochodzi z okresu śmierci Chrystusa.

Całun został wykonany bardzo prostą metodą, przy użyciu dwóch rodzajów splotów, nie zaś splotami skośnymi, jak Całun Turyński. Eksperci zajmujący się historycznymi technologiami stwierdzili, że sposób utkania katolickiej relikwii wskazuje, iż powstała ona ponad tysiąc lat po narodzinach Chrystusa. Odkryty w Jerozolimie całun – w przeciwieństwie do turyńskiego – nie składa się z jednej części, ale z kilku partii, w tym z osobnej przykrywającej samą twarz. Archeolog prof. Shimon Gibson, odkrywca grobowca, powiedział, że znalezisko powinno dać ostateczny dowód co do Całunu Turyńskiego.

Grobowiec znajduje się dolinie Hinnon, którą Mateusz Ewangelista nazywał Hakeldama – „Pole krwi". W starożytnych czasach pogańskie plemiona paliły tu dzieci, składając w ten sposób ofiary swemu bogu Molochowi. Izraelici nazwali to miejsce Gehenną – symbolem bałwochwalstwa, kultu fałszywego boga, hańby, niegodziwości oraz najniższego poziomu piekła. Święty Marek umiejscawia tam krainę potępienia, z wiecznie płonącym ogniem.

W ostatnim okresie debata dotycząca autentyczności słynnej katolickiej relikwii jest bardzo ożywiona i odkrycie profesora Gibsona jej nie zakończy. Zaledwie miesiąc temu dr Barbara Frale, naukowiec z Watykanu, ogłosiła, że udało jej się znaleźć „certyfikat śmierci" Jezusa Chrystusa. Frale powiedziała, że komputerowe analizy negatywu odbitego na Całunie Turyńskim wykazały istnienie bardzo niewyraźnych wyrazów, potwierdzających tożsamość człowieka, którego pochowano w płótnie. Kluczowe słowa „Jezus z Nazaretu" są napisane po grecku, aramejsku i łacinie. Według niej jest to dowód na to, iż ciało Jezusa po ukrzyżowaniu faktycznie było owinięte w kawałek materiału, który teraz stanowi jedną z najważniejszych relikwii Kościoła katolickiego.

Dr Barbara Frale jest historykiem, ma dostęp do sekretnych archiwów Watykanu. W książce „The Shroud of Jesus the Nazarene" zapewnia, że dzięki analizie komputerowej i uwydatnieniu zabarwień na płótnie udało się jej wykryć prawie zatarte napisy, które mają być rozlokowane w kilku miejscach płótna. Zasugerowała, że napis mógł zostać sporządzony na kawałku papirusa przez niskich rangą rzymskich urzędników bądź osoby z ówczesnej kostnicy. Miałoby to na celu identyfikację ciała. Taki „dokument" miał umożliwić odebranie zwłok z kostnicy. Papirus mógł być przylepiany klejem do ciała. Potem mógł się przesunąć tak, że przylgnął do powierzchni całunu i przez to atrament pozostawił prawie niewidoczne odbicie.

Jak podkreśla dr Frale, o tym, że na całunie znajdują się jakieś napisy, naukowcy dowiedzieli się już w 1978 roku. Potem jednak zainteresowanie ich treścią znacznie zmalało, a to przez badania metodą datowania C14, które wskazały, że całun jest jedynie fałszerstwem.

Pani doktor twierdzi, że udało się jej rozszyfrować kilka zwrotów, w tym po grecku: (I)esou(s) Nnazarennos lub Jezus z Nazaretu i (T)iber(iou). Pierwsze sformułowanie jest zrozumiałe, a drugie Frale interpretuje tak: (T)iber(iou) to Tyberiusz, rzymski władca z czasów Jezusa.

– Starałam się być obiektywna i pozostawić na boku sprawy religijne –powiedziała doktor. Wedle Frale, jest to autentyczny „certyfikat śmierci" Jezusa.

NA PODSTAWIE ONET.PL

OD PIERWSZEGO SŁOWA, PRZEZ PROJEKT, AŻ PO DRUK

WSZYSTKO MOŻEMY NAPISAĆ

WSZYSTKO MOŻEMY ZŁOŻYĆ

ulotki foldery broszury
gazety prospekty
druki okazjonalne
książki katalogi

OPOLMEDIA - Opole, Dwernickiego 4, 077 44 25 748, 0608 036 491, opolmedia@panoramaopolska.pl

NA DZIECIACH NIE OSZCZĘDZAJMY

Rozmowa z prof. Alicją Chybicką – kierownikiem Katedry i Kliniki Transplantacji Szpiku, Onkologii i Hematologii Dziecięcej Akademii Medycznej we Wrocławiu, prezesem Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego

Kiedy w latach 80. chodziłem do przedszkola, był tam stomatolog. W szkole podstawowej pracowała pani higienistka oraz pielęgniarka, które regularnie nas badały i zapisywały wyniki w kartotekach. To był PRL. Czy dzisiejszy siedmio- czy dwunastolatek ma podobną opiekę?

Oczywiście, że nie. Obecnie nie ma stomatologów w szkołach, higienistka jest często jedna na dwie szkoły. Ja miałam jeszcze lepiej, bo w każdej szkole był lekarz pediatra, który regularnie wykonywał prawidłowe badanie lekarskie. Higienistka tylko waży i mierzy, natomiast nie zapewnia prawdziwego badania. To się ma zmienić, bo z tego co wiem, lekarze rodzinni otrzymali polecenie, aby każde dziecko raz w roku było zbadane. Nie bardzo wiadomo jak chcą to przeprowadzić, bo przecież wszystko zależy od zgody rodziców.

To przejaw demokracji?

Niektórzy rodzice o dzieci zupełnie nie dbają. Albo są zbyt zapracowani, albo jest to margines społeczny, który w ogóle ma w nosie zdrowie najmłodszych. Niewinne maluchy muszą ponosić konsekwencje faktu, że matka pijaczka nigdy nie zaprowadziła ich do lekarza. Konieczna jest zatem opieka państwa, któremu powinno zależeć na posiadaniu zdrowego, silnego społeczeństwa. Dopóki człowiek nie jest pełnoletni i nie decyduje o sobie sam, musi robić to państwo, skoro rodzice zaniedbują swe obowiązki.

Ale higienistka nie może nawet przeglądać włosów bez zgody rodziców.

To urasta do paranoi i z roku na rok jest coraz gorzej. W latach 70. Polska miała wzorcową opiekę nad dzieckiem. Gdy rodziło się, do domu przychodziła pielęgniarka środowiskowa, pomagała kąpać, mówiła jak karmić. W ślad za nią przychodził pediatra. Były osobne poradnie dla dzieci chorych i dzieci zdrowych – z oddzielnymi wejściami. Dziś już mało kto o tym pamięta. Nie dziwię się matkom, które nie chcą chodzić z dziećmi do lekarza, bo na korytarzu spotykają dzieci ciężko chore i młodzież idącą na badania profilaktyczne. Tamten system był kosztowny, ale dobry. Każdy młody obywatel, niezależnie od statusu społecznego czy materialnego, nawet wychowywany przez samotnego rodzica, był otoczony opieką.

Jakie skutki dla społeczeństwa w przyszłości niesie obecny tumiwisizm?

Te skutki już widać. Dochodzi do tego, że cukrzyca jest rozpoznawana dopiero wtedy, gdy dziecko padnie na ławkę. Także wady serca rozpoznajemy późno. Rośnie wysokie pokolenie za sprawą dostępu do pełnowartościowej żywności, bogatej w minerały i witaminy, o którą było trudno 30 lat temu. Akceleracja wzrostu idzie jednak w parze z brakiem kontroli wad postawy. To pokolenie z defektami, które można by wygasić w zarodku, a które przechodzą niezauważone w początkowej fazie. Wyrośnie nam stosunkowo wysoka, ładnie wyglądająca generacja, która będzie skazana na pokoleniowe choroby.

Obecnie większym problemem polskich dzieci jest niedożywienie czy też złe odżywianie?

Myślę, że niestety niedożywienie. Chociaż drugi problem też coraz bardziej narasta. Niedożywienie wynika z biedy: gdy ona występuje, nic się nie da zrobić. Zwiedzałam ostatnio rejony wzdłuż wschodniej granicy i muszę przyznać, że tam jest prawdziwy dramat. Dzieci są szczupłe, niewysokie – to widać na pierwszy rzut oka. Nauczyciele donoszą, że część dzieci jest notorycznie głodna, z zazdrością patrzą na kanapki kolegów. Prowadzące do otyłości złe odżywianie to drugi biegun zagrożenia: mieści się na nim cała przetworzona żywność, której dziecko nie powinno jeść, m.in. chipsy, kolorowe cukierki, produkty o dużej zawartości cukru i konserwantów. Jest to o tyle niezrozumiałe, że przecież wystarczy kliknąć w Internet, żeby się dowiedzieć jak prawidłowo odżywiać dziecko. Trzeba tylko chcieć.

Brak dobrej opieki lekarskiej odbije się na młodym pokoleniu, gdy wejdzie ono w wiek dorosły

Jeszcze dwadzieścia lat temu każde podwórko na osiedlu wypełnione było gwarem bawiących się dzieci. Grały w klasy, w piłkę, jeździły na rowerach. Dzisiaj panuje cisza. Osiedla opustoszały.

Bo dzieci siedzą dziś przed komputerem albo telewizorem. Dlatego uważam, że „Orliki" są zbawiennym pomysłem i takich inicjatyw powinno być więcej. Rodzice powinni odciągać swoje pociechy od ekranów, tylko że często jest im wygodniej, gdy latorośl zajmuje się sama sobą. Rodziców wyręcza dziś telewizor i komputer – dodajmy, że wyręcza fatalnie. Mamy więc coraz więcej dzieci komputerowych: duży brzuch, pochylone plecy, popsute oczy i zęby.

SIEDZIMY NA MINIE

CZY POLSKA KOCHA SWOJE DZIECI? – pod tym hasłem odbyła się konferencja prasowa poświęcona obecnej sytuacji w opiece pediatrycznej w Polsce. Odpowiedź na pozornie proste pytanie nie jest łatwa. Zdaniem prof. Janusza Szymborskiego z biura Rzecznika Praw Obywatelskich „miłość do dzieci" wyrażaliśmy w niekontrolowanej likwidacji łóżek pediatrycznych, bez uwzględniania potrzeb zdrowotnych populacji oraz ignorowaniem specyfiki chorób dziecięcych. Sama miłość nie wystarczy – konkludował prelegent, podsumowując obecną sytuację akronimem MINA od słów:

Marginalizowanie problemów dzieci i młodzieży
Ignorowanie danych epidemiologicznych
Niedocenianie skutków zdrowotnych, społecznych, ekonomicznych
Abstrahowanie od praw pacjenta (praw dziecka, praw człowieka)

Senator Władysław Sidorowicz przywołał pozytywne dane mówiące o znaczącym spadku śmiertelności niemowląt w latach 1990-2009 i jednocześnie wskazał na alarmujące dane dotyczące nadwagi i otyłości u dzieci i młodzieży. Zaapelował do mediów o wsparcie działań zmierzających do zmiany postaw żywieniowych u dzieci.

Zęby?

Dzieci siedzą i jedzą słodycze. Według Polskiego Towarzystwa Stomatologicznego, 80 proc. ma próchnicę. Jedyne, co jest pozytywne w obecnej rzeczywistości i dokonało się także dzięki dziennikarzom, to liczne programy profilaktyczne. Oby tylko znajdowały odzew w społeczeństwie. Niedawno trafiło do nas dziecko, które trzy miesiące biegało z guzem w jamie brzusznej. Takie przypadki są na porządku dziennym. Dlatego jest bardzo ważne, aby edukować społeczeństwo, podnosić świadomość. Pozwólmy, aby państwo mogło ingerować w skrajnych przypadkach: bo gdy dziecko ma umrzeć z powodu nowotworu, a rodzice mówią „niech umiera" i nie chcą podpisać żadnej zgody, to ja występuję do sądu rodzinnego o pozbawienie praw rodzicielskich. Działanie w takich przypadkach trzeba uprościć. Często nie ma chwili do stracenia. W żadnym społeczeństwie nie można pozwolić, aby dziecko było traktowane jak przedmiot.

Edukacja, profilaktyka, narzędzia prawne to jedno. Ale leczenie powinien podejmować lekarz specjalista, pediatra. Jaki jest stan polskiej pediatrii?

To zawód zanikający. Jest nas coraz mniej. Średnia wieku pediatry wynosi dziś 58-59 lat. Starzy lekarze odchodzą na emerytury, zamykają się oddziały pediatryczne. To skutki wieloletniej polityki ustawowej. Pediatra nie może sam podpisać kontraktu z NFZ, musi prosić lekarza rodzinnego, zostać specjalistą u niego. Nie może sam negocjować, stracił podmiotowość. Dlatego młodzi ludzie nie chcą się kształcić z pediatrii. Dopiero minister Ewa Kopacz zmieniła priorytety w pediatrii i już w tej chwili mam więcej rezydentów.

Czyli coś drgnęło.

Drgnęło, ale dopiero za 6 lat pojawi się nowe pokolenie pediatrów. To dobrze, bo rodzi się coraz więcej dzieci, w związku z czym grozi nam wielka katastrofa w populacji wieku rozwojowego, szczególnie w przypadku dzieci do 14 roku życia. Starszymi zajmie się internista.

Niedawno powstał Departament Matki i Dziecka w Ministerstwie Zdrowia. Jakie są pani oczekiwania wobec tej jednostki organizacyjnej?

To też dobra decyzja minister Kopacz. Departament powstał z inicjatywy Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego. Chciałabym, aby był mocny, aby na jego czele stał samodzielny, energiczny i przebojowy pediatra, który broniłby populacji wieku rozwojowego w sytuacji ograniczonych środków. Dotychczas w ministerstwie nie było niczego podobnego, pracowały tam dwie panie, które zajmowały się wszystkim. Myślę, że należałoby w pierwszym rzędzie zrobić prawidłowy przegląd stanu naszej młodej populacji. Bo to, co dotychczas trafiało na ministerialne biurka, nie zawsze odzwierciedlało rzeczywistość. Tymczasem z badań PTP realizowanych we Wrocławiu, Bydgoszczy czy na Śląsku Opolskim wynika, że tylko 3 proc. populacji dziecięcej nie ma odchyleń od normy! Krzywe łopatki, alergie, wady serca, popsute zęby – tych odchyleń jest mnóstwo. Poza tym dlaczego nasze dzieci mają być kłute po 10 razy, skoro na Zachodzie są już szczepionki poliwalentne, które wymagają tylko jednego zastrzyku. Ile mamy oddziałów pediatrycznych, jaka ma być ich obsada, no i co ze specjalistyką pediatryczną? Ktoś musi nad tym wszystkim panować.

Piętą Achillesa jest jednak wycena świadczeń.

Większość procedur pediatrycznych jest niedoszacowanych, bo wciąż pokutuje przeświadczenie: małe dziecko – małe koszty. A jest dokładnie odwrotnie! Wszystkie nakłady na pediatrię się zwrócą, bo silne, zdrowe społeczeństwo w przyszłości z nawiązką zrekompensuje te wydatki.

ŻYCIE NA KRECHĘ

W większości sklepów w Opolu sprzedawcy trzymają pod ladą zeszyty z listą dłużników, którym co miesiąc sprzedają żywność na kredyt.
Z tygodnia na tydzień przybywa klientów proszących o towar „na krechę" czy „do zeszytu".

Jeden ze sklepów spożywczych w śródmieściu. Ekspedientka doskonale wie, co znaczy kupować na krechę, czyli do zeszytu.

– Często spotykam się z taką prośbą klientów, jednak mamy ścisły zakaz – wyjaśnia i zapewnia, że stosuje się do zaleceń właścicieli.

Tuż obok, w sklepie przy ulicy Oleskiej ten proceder jest nie tylko znany, ale i praktykowany.

– Mam własny notes, który wciąż noszę przy sobie – mówi jedna ze sprzedawczyń, wyjmując malutką książeczkę wypełnioną nazwiskami dłużników: mama Szymona, mama Darka i Ani... – Nie umiem odmówić matkom z dziećmi na ręku, tym bardziej, że kupują głównie chleb, mleko i margarynę.

Dorośli wiedzą, że niewielu sprzedawców potrafi odmówić dziecku jedzenia, dlatego nie przychodzą prosić o kredyt osobiście, tylko wysyłają do sklepu swoje pociechy.

– Taka sprzedaż to duże ryzyko. Dlatego ustalam sobie pulę pieniędzy, na jaką co miesiąc mogą się u mnie zadłużyć klienci – zdradza właściciel sklepu z ulicy Krakowskiej – Często jednak ją przekraczam, bo jak odmówić dziecku?

SŁABOŚĆ DO DZIECI

Niewielki sklep spożywczy przy Ozimskiej. Sympatyczny sprzedawca i zarazem właściciel, z uśmiechem obsługuje klientów. Jednym z nich jest mały chłopiec. Zamiast składać zamówienie, wręcza sprzedawcy kartkę. To prośba napisana przez jego mamę. Chce, by dać smykowi zakupy na kredyt. Właściciel sklepu ma miękkie serce: spełnia prośbę.

– Zawsze miałem dłużników, nigdy jednak tak wielu jak teraz – mówi.

Do niedawna prośby o sprzedaż na kreskę pojawiały się dopiero pod koniec miesiąca. Teraz nie ma już tej reguły. Ludzie proszą o kredyt pierwszego, piątego i każdego innego. Dłużników jest coraz więcej i większe są też kwoty, z którymi zalegają w sklepie. W kolorowym zeszycie długa lista, podobnych do matki malca. Obok imion wypisane w słupku kwoty zadłużenia: 55, 100, 200 zł.

– Rekordzista zalega z zapłatą 850 zł. Wierzę jednak, że kiedyś odda – przekonuje sprzedawca. – Jeśli nie może inaczej, przychodzi pomagać mi w drobnych pracach czy w remoncie sklepu.

Właściciel podejmuje czasem próby odzyskania własnych pieniędzy, jednak nie każdy dłużnik wykazuje dobrą wolę.

– Wciąż słyszę to samo: oddam za tydzień, teraz nie mogę, bo mam remont lub chore dziecko – szef powtarza zasłyszane wykręty. – Często jednak jest już za późno na odzyskanie pieniędzy, bo zadłużone rodziny zostają wyeksmitowane lub znikają z okolicy.

Niektórzy regularnie biorą na krechę.

– Moi dłużnicy są studentami, emerytami, ludźmi w średnim wieku – wylicza. – Mają u mnie otwarty kredyt, jeśli tylko regularnie potrafią go spłacać.

Rozumie problemy swoich klientów. Wysłuchuje wielu historii o ich kłopotach z pracą, rodziną. Wie jednak, że nie wszyscy, którzy kupują na kredyt, są biedni.

– Część to osoby na wysokich stanowiskach, które nie mają wielodzietnych rodzin ani wielkich wydatków – opowiada. – A jednak nie potrafią zapłacić za towar. – Czy sprzedaję na krechę nieznajomym?

Tak, za niewielkie kwoty. Nigdy jednak nie odzyskałem tych pieniędzy – przyznaje.

ROZTERKI SPRZEDAWCY

Do podobnych rozterek przyznaje się Alicja, współwłaścicielka małego sklepu spożywczego przy Katowickiej.

– Zaczęło się od dzieci. Przychodziły mówiąc, że rodziców nie ma w domu, a tam czeka głodny brat, któremu muszą zrobić obiad. Nie potrafiłam im odmówić, a pieniądze rzadko były zwracane. Dużo straciłam na swym miękkim sercu – przyznaje. – Czy liczyłam jaki dług mają wobec mnie klienci? Wolę tego nie robić, bo byłoby mi przykro.

Właścicielka sklepu przy Kośnego, przyznaje, że kiedyś sprzedawała na krechę wielu klientom.

– Byli wśród nich tacy, którzy oddawali duże sumy z opóźnieniem, jednak nie zawiedli mego zaufania – przyznaje sprzedawczyni. – Jednak większość nie pojawiała się już z pieniędzmi.

– Trudno wyrzucić człowieka proszącego o chleb i mleko, przecież też jesteśmy ludźmi – irytuje się jeden z właścicieli. – Proszę jednak nie ujawniać mojego nazwiska – prosi. – Nie chcę kłopotów z urzędami tylko dlatego, że mam miękkie serce.

AB

PRZYSMAKI „PANORAMY"

Proponuje Dorota Wojdyła z Opola

BABKA MAKOWA:

Po szklance maku i cukru, 1 kostka margaryny, 4 jaja, 2 szklanki mąki, 2 łyżeczki proszku do pieczenia, zapach migdałowy, bakalie. W szklance wrzącego mleka zaparzyć szklankę maku, pozostawić do wystygnięcia. Utrzeć margarynę, cukier i jaja, dodać zaparzony mak, mąkę z proszkiem oraz bakalie.

Piec ok. 40 min w temp. 180°C.

28 lat temu

Wielu młodych nie ma pojęcia, czym był stan wojenny. 23-letnia Olga, córka aktora Jana Frycza twierdzi, że zakończył się w 1989 roku. Trudno im uwierzyć, że istniały kartki na cukier. Na półkach nie było nic poza octem, a za posiadania ulotek antyrządowych można było trafić do więzienia. Przypominają o tym zdjęcia i dokumenty. Mówią czasem więcej niż potok słów.

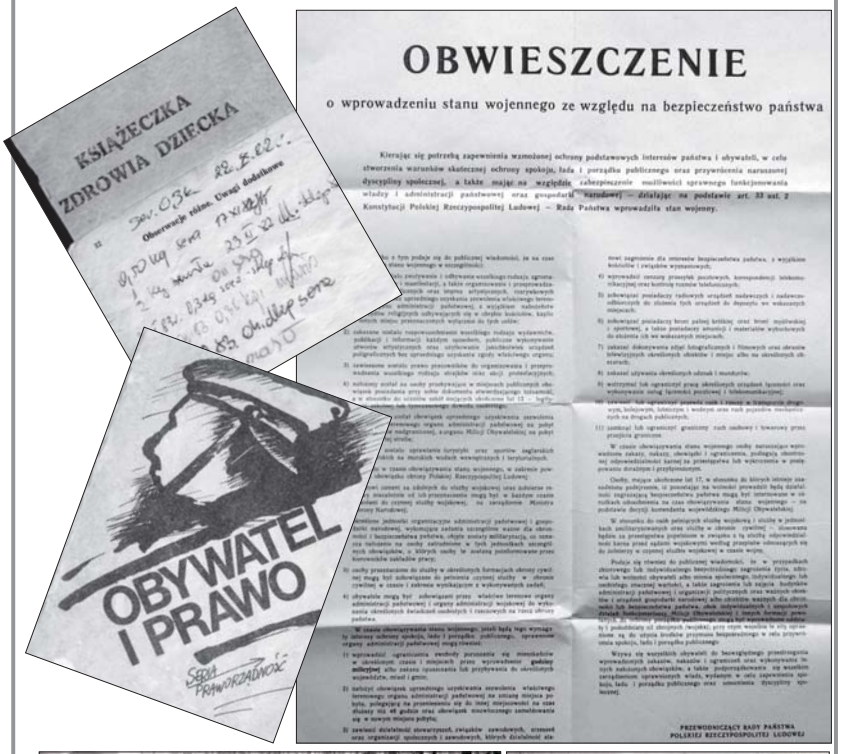

Zuchwalcy, usiłujący wedrzeć się na górę już na podejściu mogą ugrzęznąć w bagnach, natknąć się na groźne pumy, a osławione patagońskie wichury mogą zdmuchnąć ze ściany nawet najmocniejszy zespół alpinistyczny.

Wigilia na patagońskim szczycie

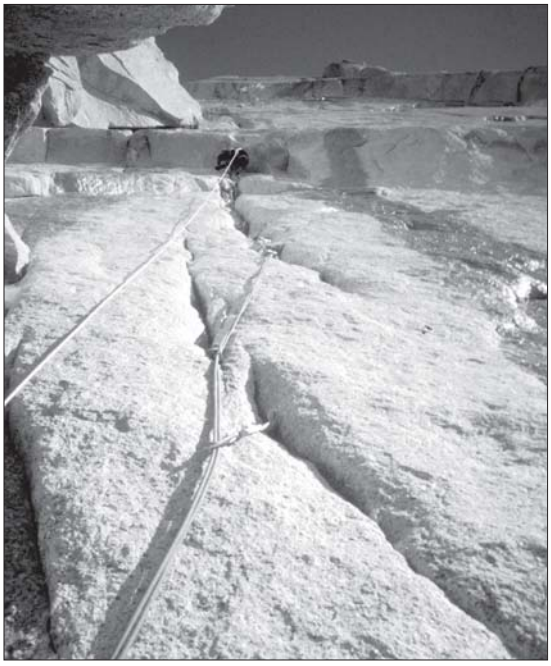

W 1984 r wziąłem udział w alpinistycznej wyprawie w Patagonii razem z alpinistami z Krakowa: Piotrem Lutyńskim, Wiesławem Burzyńskim, Mirosławom Falco-Dąsalem i Jackiem Kozaczkiewiczem. Wspinaliśmy się na Fitz Roy, bardzo trudny szczyt w Cordillera Patagonica. Mimo, że nie bardzo wysoki – 3441 m n.p.m. – w środowisku alpinistycznym owiany jest legendą. To wymarzona do wspinaczki szklana góra: wielki, strzelisty szczyt, pokryty lodową czapą, o potężnych, pionowych, granitowych ścianach wysokości do 2000 metrów, otoczony trudnymi do przejścia lodowcami.

Jest to najbardziej wietrzny rejon świata. W roku jest tylko kilka dni dobrej pogody. Zamierzaliśmy zdobyć szczyt nową drogą. Mimo że byliśmy doświadczonymi wspinaczami, nikt w Polsce na nas nie liczył. Tym bardziej, że byliśmy nienajlepiej wyekwipowani.

Gdy na początku grudnia przejaśniło się niebo, wróżąc lepszą pogodę, z grot lodowych, w których przetrzymaliśmy wichury i śnieżyce, ruszyliśmy pod ścianę. Początkowo droga wiodła przez zalodzone kominy i rysy, które pokonywaliśmy w rakach. Po czterech dniach wspinaczki dotarliśmy do maleńkiej półki skalnej, zawieszonej nad 400-metrową podstawą ściany. Tu biwakowaliśmy opatuleni w płachty biwakowe i w krótkie śpiwory, tzw. nogi słonia. Roztaczał się stąd widok na strzeliste pasma górskie na lądolodzie patagońskim. Po chilijskiej stronie mogliśmy zobaczyć zamgloną linię horyzontu już nad Pacyfikiem. Kolejne sześć dni (od 16 do 22 grudnia) zajęło nam pokonanie wielkiego 600-metrowego zacięcia wznoszącego się nad półką biwakową.

ANIOŁY Z PERU

Byliśmy zmuszeni robić skomplikowane wahadła na linach przerzucając się z jednej rysy do drugiej. Pokonywaliśmy szereg okapów skalnych, stosując iście akrobatyczne sztuczki. Dużym utrudnieniem była lodowata woda spływająca po dachówkowatych płytach, co uniemożliwiało nam wspinaczkę w południe.

Gdy tak wisieliśmy na ścianie, mając tysiąc metrów niżej pod nogami lodowiec, pojawiły się za naszymi plecami kondory. Sześć wielkich ptaków o ponad dwumetrowej rozpiętości skrzydeł krążyło bezszelestnie. Wznosiliśmy się mozolnie każdego dnia zakładając liny poręczowe i zjeżdżając na noc do naszej półki biwakowej. Nie tylko samo wspinanie wymagało wielu umiejętności. Codzienne wchodzenie kilkaset metrów do góry po pionowych, zawieszonych linach, z 15-kilogramowym plecakiem okupywane było nadludzkim wysiłkiem.

SZCZYT ZAMIAST CHOINKI

W przededniu Wigilii znaleźliśmy się 300 metrów pod wierzchołkiem. Mroźny poranek 24 grudnia zastał nas szczękających z zimna na przełęczy. Nie byliśmy w stanie wytransportować do góry sprzętu biwakowego. Spaliśmy tylko w ubraniu i w płachtach biwakowych. Na szczęście wschodzące słońce postawiło nas na nogi i wyruszyliśmy w górę. Pokonaliśmy ostatnie trudności, by o godz. 15 osiągnąć nierealny dla nas wierzchołek. Szczyt tworzyła dość długa grań pokryta kamieniami, których o dziwo nie wywiały ciągłe wiatry osiągające prędkość do 200 km na godzinę. Ponad godzinę spędziliśmy na wierzchołku, rozkoszując się rozległą górzystą panoramą. Nasza radość była jednak tłumiona świadomością niebezpieczeństw grożących podczas zjazdów ze szczytu na linach.

SUCHARY ZAMIAST OPŁATKA

Zmieniła się pogoda. Zrobiło się mroczno, zaczął sypać śnieg. W czasie zjazdów spotkaliśmy wspinających się na szczyt dwóch Amerykanów. Pod wieczór byliśmy na przełęczy, gdzie o godz. 21 rozpoczęliśmy nasz wieczór wigilijny. Amerykanie dołączyli do nas później. Nie najbogatszy był nasz jadłospis. Na siedem osób mieliśmy jedną paczkę wojskowych sucharów, konserwę szprotek i jedną mielonkę. Podzieliliśmy się sucharami jak opłatkiem. Nie wymawialiśmy żadnych życzeń, każdy z nas aż za dobrze wiedział, że życzymy sobie powrotu z tej strasznej góry.

Mieliśmy dylemat, czy zjeść mięso, ale głód był silniejszy. Dwa tygodnie później polskim księżom w Buenos Aires przyznaliśmy się ze skruchą do „grzechu". Wytłumaczyli nam, że w Polsce była już pierwsza w nocy pierwszego dnia Bożego Narodzenia... zatem mogliśmy już jeść mięso bez wyrzutów sumienia.

Niezwykły był to wieczór wigilijny. Siedzieliśmy przytuleni do skały na wąskiej, urwistej przełęczy. Nad nami piętrzyły się strzeliste turnie, wśród których hulał wiatr. Pod nogami mieliśmy ponad tysiącmetrową otchłań. Przez kilka godzin śpiewaliśmy z zapałem kolędy. Ich melodia w tej dzikiej, górskiej scenerii robiła olbrzymie wrażenie. Niestety z czasem nasz śpiew zamilkł, z powodu zimna.

DO PATAGOŃSKICH DOLIN

Pierwszy dzień świat powitał nas dobrą pogodą, Zaczęliśmy serię zjazdów na linach. Zajęło nam to cały dzień i dopiero późno w nocy dotarliśmy na lodowiec. Poniżej szczeliny brzeżnej spaliśmy jak susły na byle jak wyrąbanej w lodzie platformie. Czuliśmy się już bezpieczni. Gdy następnego dnia na niebie zobaczyliśmy długie cygara chmur, zapowiadające załamanie się pogody, wiedzieliśmy już, że wycofaliśmy się ze ściany w ostatniej chwili. Zmęczeni, wracając do bazy po postrzępionym lodowcu, często spoglądaliśmy na wielką północną ścianę Fitz Roya z nową, wytyczoną przez nas polską drogą.

Byliśmy wykończeni, głodni, niewyspani, brudni. Ale cieszyliśmy się, że żyjemy i wracamy do zielonych, patagońskich dolin tętniących pełnią subarktycznego lata.

MICHAŁ KOCHAŃCZYK

Michał Kochańczyk uczestniczył m.in. w wyprawie do Pamiru, land roverem od Tunisu przez Saharę do Kamerunu, Himalaje – pierwsze polskie wejścia na Bhaghirathi II (6512 m) i Srikajlas (6930 m); pierwsze polskie wejście na najwyższy szczyt Cordillera de Vilcanota (6372 m); Jezioro Titicaca; Boliwia; udział w wyprawie z polskimi kajakarzami do preinkaskich ruin Gran Pajaten w Amazonii; przeprawa przez dżunglę; Cordillera Blanca w Peru; kopanie złota w Amazonii; Fitz Roy (3415 m) w Patagonii; Aconcagua (6960 m); Cho Oyu w Nepalu (8202 m), akcja ratunkowa Marka Roslana i Karola Sopickiego; asekurowanie od strony tybetańskiej Mirka Gardzielewskiego i Jacka Jezierskiego, zdobywców szczytu; Nanga Parbat w Pakistanie (8125 m), pomoc dla Jurka Kukuczki przy zejściu ze szczytu, odnalezienie w lawinisku ciała Piotra Kalmusa; rejs żeglarski Mar del Plata; Alaska, Mount McKinley (6192 m), odnalezienie ciała Piotra Jankowiaka; przejście na nartach znacznej części Zachodniego Spitsbergenu; spotkania z niedźwiedziami polarnymi; Langtang Lirung w Nepalu (7231 m); Trisul (ponad 7000 m) w Himalajach, śmierć Anny Bruzdowicz; Namibia – podróż po najstarszej pustyni świata, kopalnie diamentów i uranu; przemierzenie Kalahari, wodospady Wiktorii, spływ rzeką Zambezi, spływ na katamaranach Czeremoszem (górska rzeka na Ukrainie); Annapurna; Kongur Shan (7719 m) w Pamirze Chińskim; Litwa na rowerze.

Sianko czy narkotyk?

Każdy z podróżników zawsze stara się, aby w czasie świąt mieć przy sobie coś, co przypomina rodzinny dom, oddalony o setki lub tysiące kilometrów. Wybierając się na wyprawę zimową w Himalaje, zostali zaopatrzeni przez żony w siano, by gdzieś daleko, w dolinie himalajskiej, w bazie wyprawy umieścić je pod obrusem w czasie wieczerzy.

W tych czasach w Himalaje trzeba było lecieć przez Moskwę. W trakcie przesiadki celnicy z lotniska odkryli nieszczęsną przesyłkę. Trudno opisać, co się wówczas działo. Na lotnisku podniesiono alarm. Zaryczały syreny, powstało zamieszanie, alpinistów natychmiast aresztowano. Wszak w ewidentny sposób nakryto na gorącym uczynku groźnych przemytników narkotyków.

Dopiero po kilku godzinach sprowadzeni specjaliści z największego moskiewskiego instytutu odkryli niewinne właściwości wysuszonej polskiej trawy. Nie mogli dać wiary, że w bagażach miłośników gór znaleźli zwykłe siano. Podejrzliwi radzieccy celnicy do końca nie dali wiary wyjaśnieniom speców od narkotyków. Po co właściwie Polacy wożą na drugi koniec świata małe wiązki siana?

MK

Pod palmami

W 1986 roku pojechałem na kolejną wyprawę do Patagonii. Wspinaczkę zaczęliśmy w listopadzie. Naszym celem było przebycie nowej drogi na wielkiej pionowej dwukilometrowej ścianie najwspanialszego obiektu skalnego na świecie, turni Ceno Torre.

Niestety, nie zdobyliśmy góry. Nasze plany przekreśliła pogoda. Silne, lodowate wiatry zmusiły nas do odwrotu. Wróciliśmy w niziny. Tym razem Wigilię przyszło nam spędzić w Buenos Aires. Jak zwykle gościliśmy u Lutka Sadowskiego, prawdziwego przyjaciela polskich alpinistów. Lutek, wąsaty Sarmata, jako dziecko był na zsyłce w Syberii. Po wojnie, przez Iran, Kenię, Anglię, dotarł z rodziną do Buenos Aires. Jest bardzo gościnny dla Polaków. Gościli u niego nie tylko sportowcy, ale również polskie zespoły taneczne i teatralne. Pod jego dachem przebywało wielu Polaków, których los zagnał do Argentyny.

I tak wieczór wigilijny zastał nas w prawdziwym polskim domu u inżyniera Sadowskiego. Dziwna była to Wigilia. Pod wieczór temperatura spadła do plus 38 st. C. Z rozrośniętych żywopłotów dochodziły dźwięki cykad, a w powietrzu nad stołem ustawionym na trawniku kłębiły się roje komarów. Nagrania polskich kolęd rozlegające się między palmami podkreślały nierealność sytuacji.

Pod obrusem było jednak polskie siano. Nie zabrakło barszczu z uszkami, prawdziwego litewskiego kulebiaka. Nie chciało się wierzyć, że siedząca przed nami polska młodzież to trzecie pokolenie emigracyjne. Świetnie mówili po polsku, choć nigdy nie byli w kraju swych dziadów.

MK

W większości polskich domów święta kojarzą się z niezmieniającą tradycją

Nowa opowieść wigilijna

Bożonarodzeniowy nastrój, jedyny i niepowtarzalny, pełen śniegu i radości wśród świątecznej krzątaniny. W opolskiej katedrze kolejka do wszystkich konfesjonałów. Ludzie z zakłopotaniem przebierają nogami, niektórzy dyskretnie zaglądają na zegarek. – Słuchaj, musimy się pośpieszyć – szepcze dama w norkach do ucha eleganckiego pana ze zdechłym zwierzakiem na głowie. – Za chwilę w „Realu" już nic nie będzie. Może przyjdziemy później...

Opuszczają pośpiesznie kościół, zostawiając po sobie zapach drogich perfum. Przy konfesjonale klęka dziewczyna, żegna się nabożnie. Wśród pełnej skupienia ciszy rozlega się nagle dźwięk komórki. Z zażenowaniem przykłada ją do ucha. – Halo, mamo nie mogę teraz rozmawiać – krótkie milczenie. – Jaka to ma być musztarda? Stołowa? Dobrze, kupię.

Ksiądz ze zrozumieniem pokiwał głową.

*

Państwo K. mieszkają na opolskim ZWM-ie. Wigilia to dla nich przede wszystkim czas hołdowania tradycji. Halina od rana kręci się po kuchni, potraw ma być dwanaście – inaczej w domu nie zagości dobrobyt, a przecież i tak się nie przelewa. Wraz z upływem czasu gospodyni jest coraz bardziej zdenerwowana. Syn siedzi z kolegami i gra w najnowszą grę komputerową, córka wchodzi i wychodzi, męża nie można się o nic doprosić. Wszystko na jej głowie. I nawet krzyczeć nie może, bo to źle rokuje na przyszły rok. Wszyscy jacyś podenerwowani. To chyba z głodu, bo Halina jest tradycjonalistką i wie, że należy przestrzegać postu. W tej bieganinie nie zdążyła nawet pójść do spowiedzi. Od dwudziestu lat nie ma na to czasu.

Mąż jeździ po zakupy, a gdy wraca, jest rozdrażniony cenami i wydatkami pochłaniającymi całą jego pensję. Kolejkami także. Siada przed telewizorem i wgapia się w jeden seriali. Właściwie to zmienia kanał po kanale, bo nie umie się zdecydować. W końcu postanawia wziąć prysznic – przecież na Wigilię wszyscy powinni być czyści, pachnący i ładnie ubrani.

*

Córka Małgosia jest zbuntowana, ale to normalne w tym wieku. – Dlaczego ten obibok za ścianą nic nie zrobi, nawet w swoim pokoju ma chlew – krzyczy w kierunku kuchni. Syn pani Haliny jest jednak szczególną osobą w tym dniu: wyjeżdża na Wigilię do swojej dziewczyny, łamiąc tradycję rodu K. Jego postępowanie wzbudza smutek. Nie będzie tak jak zwykle, nie usiądą w czwórkę do stołu, trzeba więc wynagrodzić chłopcu ból rozstania z macierzą i nie prowokować awantur. Córka zostaje skarcona za bałagan.

Wojtek, najmłodsza latorośl rodu, nie przygotował żadnych prezentów. To w sumie nic dziwnego, nie został do tego przyuczony, poza tym nie będzie brał udziału w rodzinnej tradycji. Matka tłumaczy, że chłopak nie ma za wiele pieniędzy, bo pracuje i studiuje równocześnie. Co prawda kiedyś dowiedział się o Aniołku, który podrzuca paczki pod choinkę, ale na tym poprzestał. Przyzwyczaił się do skrzydlatego stworzenia, które obdarowuje go co roku i nie zastanawia się, czy nie powinien zacząć sam zabawiać się w gwiazdorka.

Państwo K. siedli w białych koszulach przy odświętnie udekorowanym stole. Nie zapomnieli o modlitwie, opłatku i wszystkich innych procedurach tej uroczystej nocy. Byli wyposzczeni, więc szybko znikały ze stołu kolejne potrawy. W sumie potrwało to może z trzydzieści minut. Nie było o czym rozmawiać.

Dopiero po rozdaniu prezentów wybuchł spór: – Nie będę oglądał jakiejś śpiewającej chałastry – krzyknęła głowa rodu i trzasnęła drzwiami, by podkreślić rangę swoich słów. Zza drzwi sypialni dobiegły odgłosy strzelaniny. Halina nie miała sił na kłótnię, była bardzo zmęczona. Nie zauważyła nawet jak oczy jej się zamknęły i skulona zasnęła w fotelu przy cichej muzyce telewizyjnych kolędników. Małgośka zamknęła się w pokoju brata i zaczęła wysyłać Internetem zapomniane życzenia bożonarodzeniowe. Oba medialne przekaźniki grały do drugiej w nocy. Mąż Haliny zasnął z pilotem w dłoni pomiędzy jednym a drugim filmem. Wigilia była jak zwykle tradycyjna.

*

Państwo P. prowadzą interesy od lat. Zaczynali od łóżka z tureckimi towarami. Wraz z rozgrzaniem koniunktury dorobili się małego stoiska w pierwszym prywatnym markecie. Potem wynajęli lokal, po paru miesiącach kupili go. Dzisiaj mają już cztery swoje przedstawicielstwa. Wszyscy są zabiegani. Do godz. 15 muszą zebrać całodzienny utarg, pozamykać sklepy, a dopiero potem skupić się na Wigilii. W domu iście kupiecka atmosfera, część artykułów porozrzucana po dużym pokoju.

– Waldek, miałeś kupić karpia – krzyczy zdenerwowana Kazia. – Zabraknie uszek, zamówiłeś jak zwykle za mało.

– Aśka miała przynieść pół kilo z delikatesów – odkrzykuje jej mąż. – To nie moja wina, że twoi rodzice zwalają się w najbardziej zapracowany dla nas dzień. Werka, przestań rozliczać sklep i pomóż matce – zwrócił się do młodszej córki.

Odkąd P. przekroczyli pierwszy milion, potrawy wigilijne nabywają w restauracjach, sklepach, obojętne gdzie. Nie mają czasu stać przy garach i pichcić do pierwszej gwiazdki, często nawet nie mają nawet czasu przebrać się odświętnie, ale to nie razi nikogo z rodziny, bo i tak na codzień wyglądają niezwykle elegancko.

Państwu P. udało się wreszcie po 22 usiąść przy stole. Co prawda tylko na chwilę, bo co kilka sekund dzwonił telefon ze spóźnionymi życzeniami od kontrahentów. Gdy skończyli wieczerzę, przyszedł czas na wspólną Pasterkę. Poszli razem do kościoła. To była jedyna godzina w roku, gdy nie myśleli o pieniądzach, nie myśleli o niczym. Byli razem.

*

Sąsiedzi K. nie obchodzili Wigilii bardzo długo. Rosana jest z pochodzenia Bułgarką, w jej domu nie ma żadnych świąt, nawet nie wie za bardzo jakiej jest wiary. U Szymona było bardzo biednie. Starszy brat trafił do więzienia, kiedy Szymon był jeszcze mały. W czasie Wigilii jedli ziemniaki z rybą, nie wspominali nikogo. Nie bardzo chcieli myśleć o ojcu pijaku, który przyjdzie zaraz po wieczerzy i będzie się awanturował.

Wszystko zmieniło się, gdy któregoś roku zostali zaproszeni do K. Podkoszulek Szymona okazał się niestosowny do okoliczności. Podpatrzyli świąteczny wystrój, spodobała im się atmosfera. Od tej pory Rosana kazała Szymonowi wkładać w Wigilię białą koszulę, nawet gdy nie była pierwszej czystości. Przyjęli także księdza po kolędzie. Rosana nie wiedziała jak ma się zachować, ale Szymon – kiedyś ministrant – poradził sobie świetnie. Dzieci zdziwione były zmianami, które zaszły w ich domu. Poszły do pierwszej komunii, potem do bierzmowania. Wszyscy uczniowie z ich klasy chodzili na religię, więc dlaczego oni mieli być gorsi. Co prawda najczęściej odrabiali na niej zadanie domowe z matematyki, ale mają na świadectwach maturalnych napisane „lekcja religii zaliczona".

Rosana i Szymon zajęli się robieniem biznesów, kupili dobrze prosperującą firmę. Poświęcili się jej bez pamięci, bo to jest ich szansa na lepsze życie. Sklep całodobowy wymaga obecności również w czasie Wigilii. W czasie tegorocznej dzieci pomagały im przez cały wieczór. Nie za darmo. Charytatywnie nie robią raczej nic. Takie czasy.

*

20-letnia Grażyna i 22-letni Bernard wrócili do pustego mieszkania. W dużym pokoju stała choinka. Ozdób prawie wcale, za to ich 24-godzinny sklep dostał nagrodę za najprzytulniej urządzone pomieszczenie handlowe. Potraw wigilijnych nie miał kto przygotować. Zjedli coś w McDonaldzie. Na zmianę dzwonili z życzeniami po przyjaciołach i znajomych.

Do domu Rozany i Szymona zaczęli schodzić się młodzi ludzie, najczęściej już podpici. Większość z nich wstała właśnie od wigilijnych stołów, gdzie często nie zabrakło sianka pod obrusem. Młodzi wolą spotkać się w swoim gronie aniżeli wgłębiać się w telewizyjno–komputerową rzeczywistość.

– Cholera, pierniczę te święta – rozlegało się w późnych godzinach nocnych wołanie z balkonu kolegów Grażyny i Bernarda. Alkohol zrobił swoje. Przekleństwa unosiły się w rytm kolędy „Lulajże Jezuniu", którą wyśpiewywali wierni na pasterce. Zgodnie z tradycją.

AGNIESZKA MALIK

REKLAMA

Otrzepać się w Nowym Roku

Najmniejszy słowiański naród – Łużyczanie – to obywatele niemieccy, których mową ojczystą jest język słowiański – łużycki. Wszędzie dwujęzyczne napisy, choć te niemieckie są większe. Łużyczanie się śmieją, że mają lepszy wzrok i nie potrzebują wielkich liter. Słowiańsko brzmiące nazwy miejscowości, ulic, instytucji i sklepów.

Prawnie uznani są za mniejszość narodową, zachowując wciąż odrębność kulturową i własny język. Do tej pory etnografów zadziwia obyczajowość Łużyczan.

ŚWIĄTECZNA PIRAMIDA

Od adwentu aż do Trzech Króli w każdym domu towarzyszy Łużyczanom bożonarodzeniowa piramida, czyli „drebom" – drewniane drzewo. Pojawiła się wcześniej niż choinka. Od ok.1880 roku obecna jest w każdej chacie, drewniana trzy- lub czteropoziomowa, oklejana kolorowym papierem, zdobiona wieńcami, bukietami kwiatów, złotymi orzechami, figurkami św. Rodziny. Czasem ma prawie 2 metry wysokości. Szczególnie popularna jest w Dolnych Łużycach, gdzie nie było iglaków.

Na najniższym poziomie piramidy mocowało się świeczki, które poruszały, wydzielając ciepło, drewniane skrzydła na metalowej obrotowej konstrukcji, tak by cała piramida mogła się kręcić jak ruchoma szopka albo żywa choinka. Do dziś, już masowo produkowane, spotyka się „drebomy" w wielu domach łużyckich, niemieckich i polskich.

12 MAGICZNYCH NOCY

Prastara jest wiara w dwanaście nocy. Od 25 grudnia do 6 stycznia demony i duchy mają największą moc. Zaklinanie ich dla zapewnienia powodzenia w nowym roku poszło już w zapomnienie. Tylko starzy ludzie jeszcze obłaskawiają siły natury. Dawniej dla zapewnienia płodności sadów i pól zapraszane były na wieczerzę drzewa owocowe. Nie można też w tym czasie prać i pożyczać czegokolwiek.

Zapewniano przychylność bydła domowego. Najstarsi mieszkańcy pamiętają obyczaj „Nowoletka" (Nowych Roczków), czyli pieczenie ciasteczek o kształtach zwierząt domowych, które dodawane były domowym czworonogom do pokarmu z najlepszymi życzeniami. Jeszcze w latach 30. XX wieku „łaciata" chrupała wypieki świąteczne. Wypiekano też ciasteczka w kształcie trójkątów ku czci Trzech Króli, zwane „cziodrak" i darowane przez dorosłych chrześniakom.

W Dolnych Łużycach przetrwał jeszcze zwyczaj „wodzenia staregó". W czwartek przed Bożym Narodzeniem pojawiał się w domach młody chłopak przebrany za starca, prowadzący garbusa z kosturem. W czwartek po świętach zjawiała się młoda para z przewodnikiem – „wodzenie młodego" miała przynieść szczęście w Nowym Roku. Przebierańcy byli obdarowywani boczkiem, jajami, kiełbasą, czasem pieniędzmi.

NOWE POWITAĆ

W Dolnych Łużycach jeszcze w latach 60. prasa pisała o „woklapnicy". W izbach, gdzie kobiety przędły nici, zbierali się mieszkańcy wsi w ostatni wieczór roku. Tam „otrzepywano" z siebie resztki powstałe w trakcie przędzenia. To symboliczne oczyszczenie się było pożegnaniem, a zarazem przygotowaniem się na powitanie nowego roku.

Społeczności wiejskie np. w Błotach „odpukiwały" wszystkie ważne wydarzenia w życiu wspólnoty („wotklepaś"). Sołtys podczas uroczystego zebrania w gospodzie zdawał sprawozdanie, co udało się zrealizować w odchodzącym roku, każdy punkt był „odstukany" w stół lub ścianę. Przy tej sposobności przedstawiani byli nowi mieszkańcy, którzy w okolicy nabyli ziemię czy gospodarstwo.

BEATA DŻON
(PRZY POMOCY INSTYTUTU SERBSKIEGO Z BUDZISZYNA)

REKLAMA

Kiedy lekarz powiedział Basi na co jest jest chora, wiedziała już, że od tej pory dużo zmienni się w jej życiu. Namówiła siostrę na wczasy nad jeziorem. Ostatnie śmiałe spacery nad brzegiem, ostatnie opalanie się w skąpym kostiumie kąpielowym. Za tydzień jedna z piersi Basi musiała zostać odjęta. Guz, który rozwinął się u 37-letniej wówczas kobiety, był rakiem złośliwym.

Życie z rakiem

Barbara źle znosiła trudy operacji, późniejszą chemię i radioterapię. Do dziś odwraca głowę, gdy widzi, że ktoś tylko połyka leki. Ma wtedy odruch wymiotny. Ładna, uśmiechnięta brunetka, mówi, że pogodziła się z chorobą, że nie chce narzekać. Zaraz jednak pyta rozgoryczona, dlaczego w mediach mówi się jedynie o kobietach, które skończyły 40 lat, jako zagrożonych rakiem piersi.

– Na sali pooperacyjnej zobaczyłam, że nie należę do najmłodszych w tym gronie – wspomina kobieta. Dziś, trzy lata po operacji, jest pełna energii. Kontynuuje studia, na które zapisała się jeszcze w trakcie brania chemii. Złości się, kiedy jej koleżanki zwlekają z wykonaniem mammografii. Przypomina im, by pamiętały o samobadaniu i wizycie u lekarza.

– Jednego tylko nie wiem: kiedy zechcę ułożyć sobie życie z mężczyzną, w którym momencie powinnam mu o wszystkim powiedzieć? – pyta Basia.

Doktor MARIA PAMUCKA z Wojewódzkiego Ośrodka Onkologicznego w Opolu od lat leczy kobiety chore na raka piersi. Odbyła wiele zagranicznych stażów na oddziałach onkologii, m.in. w Stanach Zjednoczonych. Podkreśla, że w leczeniu najbardziej przeszkadza jej błędne przeświadczenie pacjentki z guzem piersi, że ta choroba jest wyrokiem śmierci.

NA RAKA PIERSI ZACHORUJE

co szesnasta Polka – to rocznie 10 tys. kobiet. 80 procent z nich przyjdzie do lekarza za późno, dlatego co roku w Polsce umiera 5 tys. kobiet. Kiedy guz wykryty jest w początkowym stadium, można zastosować tzw. operację oszczędzającą, która nie wymaga odjęcia całej piersi. 75 proc. nowotworów wykrywa się w Polsce za późno, dlatego tylko 5-10 proc. pacjentek ma szansę na taki zabieg. Na Zachodzie jest ich pięć razy tyle.

– To przekonanie dominuje u większości Polek – irytuje się doktor Pamucka – a przecież onkologia ma wielkie sukcesy. Lata sześćdziesiąte to próby zmniejszenia bólu pacjentki chorej na raka piersi. Lata osiemdziesiąte to starania o wyleczenie jak największej liczby chorych. Teraz naszym zadaniem jest nie tylko uzdrowienie kobiet nazywanych amazonkami, ale spowodowanie, by mogły powrócić do wykonywanej pracy.

Niestety, wobec ogromnych potrzeb finansowych szpitale i ośrodki stawiają na ostatnim miejscu zatrudnienie psychologa. Brak opieki psychologicznej to również największy problem kobiet zrzeszonych w opolskim klubie amazonek. Jedynym wsparciem, jakie otrzymują, jest to, które dają same sobie.

Na tej stronie internetowej można znaleźć informacje, które powinny poznać wszystkie kobiety - niezależnie od tego, czy znajdują się w grupie ryzyka

NIE CHCĘ NA RENTĘ

Zbliżała się właśnie rocznica śmierci męża Krystyny. Umarł 16 lipca 1990 r., po kilku miesiącach zmagania się z rakiem. Krysia obiecała sobie, że zbierze pieniądze, by w rocznicę postawić piękny nagrobek. Do wyznaczonej daty zostało tylko 10 dni, a było jeszcze tyle do zrobienia. Wieczorny prysznic, Krystyna wyczuwa duży guz na piersi. Przeczuwa, że to rak.

Kilka dni po operacji miał się odbyć konkurs na stanowisko dyrektora ważnej instytucji wojewódzkiej. Krystyna – inżynier ochrony środowiska – uparła się, że do niego przystąpi. Największy problem był z ubraniem. Spalone po naświetlaniach ciało bolało. Trudno było założyć bluzkę, bo materiał przyklejał się do rany. Dopięła jednak swego: stanęła przed komisją i wygrała. Do dziś jest aktywna zawodowo.

Wszystkie polskie amazonki tuż po operacji przechodzą na rentę. Krystyna nie chciała. Dopiero teraz, po dziesięciu, latach postanowiła wystąpić z wnioskiem o przyznanie należnego świadczenia. Nie stawiła się jednak przed komisją lekarską, bo ważniejszy dla niej był udział w konferencji naukowej.

W wazonach rozstawionych w całym mieszkaniu mnóstwo kwiatów. Wczoraj pani Krysia skończyła 70 lat. Przyszło wielu gości: rodzina i współpracownicy. Wielu z nich nie wie, że przed dziesięcioma laty Krystyna wygrała walkę o życie.

PRZYCHODZĄ I ODCHODZĄ

Danusia – bardzo drobna kobieta, ma w sobie dużo entuzjazmu. Kiedy znalazła się na oddziale onkologii, lekarze wiedzieli, że nie podda się chorobie i powierzyli jej stworzenie klubu „Amazonka" dla pań chorych na raka piersi. Opolskie amazonki widują się raz w miesiącu. Na spotkania przychodzą goście: lekarze specjaliści, rehabilitanci, pracownicy biur rachunkowych, którzy uczą jakie elementy rehabilitacji można odliczyć od podatku.

TAKIE BYLE CO

Olga bała się powiedzieć rodzinie, że jest chora. Miesiąc przed poznaniem diagnozy jej ojciec zmarł na raka jelita grubego. Badała się regularnie, co pół roku prosiła o dokładną kontrolę piersi. Kiedy usłyszała, że w lewej piersi umiejscowił się duży guz, zdziwiła się, gdyż kilka miesięcy wcześniej lekarz nic nie wyczuł. Uspokojono ją jednak, że zgrubienie nie jest groźne. – To tylko włókniak, takie byle co – powtarzano mi – wyznaje Olga. – A ja uwierzyłam.

„Włókniak" wymagał jednak usunięcia. Olga zawsze pracowała na dwa etaty, nie dosypiała, nie miała czasu dla siebie. Myśląc o czekającym ją zabiegu, martwiła się jedynie tym, że przez tydzień nie będzie jej w pracy.

Kiedy wybudzono ją po operacji, czuła duży ból. Miała obandażowaną klatkę piersiową. Lekarze unikali jej wzroku, odmawiali udzielenia informacji. Sama odkryła, że zamiast operacji oszczędzającej odjęto jej całą pierś. A przecież to miał być niegroźny włókniak. – Operacja przebiegła niepomyślnie – powiedział w końcu lekarz, od którego domagała się wyjaśnień.

Była to jedyna informacja, jaką zdobyła w szpitalu. Spędziła tam kilka tygodni. Naświetlania, chemia, rehabilitacja. Dopiero rehabilitantka porozmawiała dłużej z kobietą: uspokajała, że rak nie musi mieć przerzutów, poradziła gdzie kupić perukę.

Za tydzień minie rok od operacji. Olga wraca do pracy. Znów będzie uczyć dzieci, lecz obiecuje sobie, że poprzestanie na jednym etacie. – Teraz czuję się starsza o 20 lat – wyznaje 38-letnia kobieta. Działa w klubie „Amazonka". Jej marzeniem jest wzruszyć sumienia lekarzy, by pacjentkom po mastektomii chcieli powiedzieć więcej niż jej.

ABR

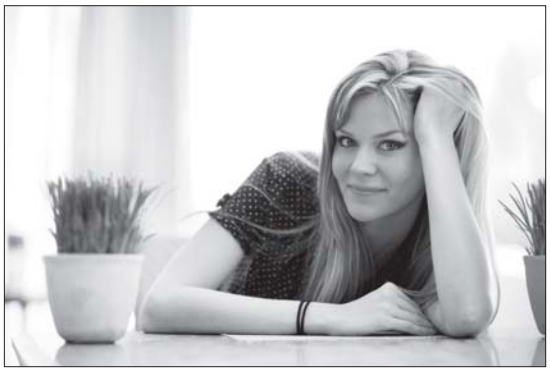

ZIMOWY ALFABET

Szara aura za oknem nie musi oznaczać szarego krajobrazu na stole. Pomimo, że zimą mamy ograniczony wybór świeżych warzyw i owoców, można jeść zdrowo i kolorowo, jeśli tylko świadomie podejdziemy do układania diety.

Zimą szczególnie warto zadbać o to, by dostarczać organizmowi kalorii w produktach bogatych w wartości odżywcze. Na bok trzeba odłożyć wyroby, które poza energią, nie dostarczają naszemu organizmowi żadnych wartości. Najlepiej zastąpić je tak zwanymi „dobrymi kaloriami". Na polskim rynku od niedawna funkcjonuje nawet marka o nazwie „Dobra Kaloria", którą tworzą naturalne wyroby, udowadniające, że kalorie mogą być źródłem cennych wartości odżywczych.

Zimą szczególnie przydatna bywa witamina A, która podnosi odporność organizmu przez wzmacnianie śluzówki. Jej źródłem jest pełne mleko, śmietana, masło, jaja, niektóre tłuste ryby. W tym okresie potrzebujemy też więcej witamin z grupy B, istotnych ze względu na odporność i działanie przeciwdepresyjne. Są one obecne w: nabiale, drobiu, rybach, wołowinie, fasoli, ziarnach, kiełkach, orzechach, pestkach, zarodkach pszennych, pełnoziarnistym pieczywie, nasionach amarantusa i kaszy jaglanej. Najważniejsza jest jednak w tym czasie witamina C, która wspomaga odporność i poprawia wchłanianie innych wartości odżywczych. Znajdziemy ją papryce, brukselce, natce pietruszki, czarnej porzeczce, kiszonej kapuście i cytrusach.

Zima to także czas, kiedy warto sięgnąć po warzywa… mrożone. Mrożenie to metoda przechowywania, która powoduje najmniejsze straty wartości odżywczych. Cennych składników dostarczą nam także ziarna, szczególnie oleiste: słonecznik, dynia, sezam czy soja. - Ziarna są bogatym źródłem niezbędnych nienasyconych kwasów tłuszczowych, żelaza, magnezu, błonnika pokarmowego oraz witamin B1. B6, PP i E, zwanej witaminą młodości – mówi Marek Kubara z firmy Ekoprodukt produkującej ekologiczną i dietetyczną żywność.

Zima sprzyja stagnacji. Rzadko uprawiamy sporty, jemy też mniej owoców i warzyw. Te zmiany mogą powodować zaparcia. Niedobór błonnika w codziennej diecie należy rekompensować pełnoziarnistym pieczywem, kaszą lub suszonymi owocami. Z racji niedoborów błonnika warto sięgnąć zimą po zupy. Tradycyjne zupy można dodatkowo urozmaicić o nowoczesne mieszanki kasz. Zawierają one bezcenne dla naszego organizmu ziarna takie, jak np. amarantus, orkisz, proso, gryka, pełnoziarnisty kuskus i otręby owsiane. Dzięki temu charakteryzuje je nadzwyczajne bogactwo mikro - i makroelementów, witamin z grupy B, błonnika i innych cennych dla organizmu wartości odżywczych.

Zastosowanie zrównoważonej i rozsądnej diety pozwoli nam nie głodować i jednocześnie nie gromadzić zimowych zapasów tłuszczu. Warto także zadbać o dostarczenie organizmowi odpowiednich wartości odżywczych i witamin, ponieważ odpowiednio dobrana dieta może mieć wpływ na podnoszenie odporności naszego organizmu.

WIR

PRZEWOZY
Sprzętu gospodarstwa domowego
Mebli z Niemiec do Polski i z Polski do Niemiec
Mienia przesiedleńczego
Tel. (77) 46 60 158

Specjalistyczny Zakład Opieki Zdrowotnej Tańczak i S-ka Spółka Jawna
Rok Założenia 1974
kompleksowa obsługa stomatologiczna
ZABIEGI W NARKOZIE w pełnym zakresie
BEZPŁATNE - Przeglądy, porady, konsultacje
Rejestracja telefoniczna: +48 77 453 88 33, +48 77 551 10 78, +48 607 173 521
Rejestracja OnLine: www.iMed24.pl
Rejestracja przez Skype'a: rejestracja-stomatologiczna
www.tanczak.pl
Spec. ZOZ "Tańczak i S-ka" Sp.J. 45-371 Opole, ul. Ortat Lwowskich 51/1

PRZYSMAKI „PANORAMY”

Z pamiętnika Wandy Golańskiej z gminy Niemodlin

KARP MOJEJ MAMY:

na każdy kilogram ryby należy wziąć kilo cebuli. Cebulę, najlepiej pokrojoną w talarki, ugotować na rybich głowach w małej ilości wody. Rybę sprawić, pokroić w dzwonka, lekko osolić. Ugotowaną cebulę przetrzeć przez gęste sito (nie miksować!). Lekko osolić, dodać odrobinę cukru, 2 ziarnka ziela angielskiego, 1 listek laurowy, kawałeczek wyszorowanej skórki z cytryny i kilkanaście rodzynek. W przetartym wywarze gotować przez 10 minut (na małym ogniu) wcześniej przygotowaną rybę. Miękką ostrożnie wyjąć łyżką cedzakową na półmisek – najładniej wygląda ułożona w kształcie ryby. Wyjąć rodzynki i posypać nimi rybę. Przecier jeszcze raz przetrzeć przez sito. Ewentualnie doprawić – powinien mieć lekko słodkawy smak. Zalać rybę i pozostawić do zastygnięcia. Jeżeli rybich głów było mało, do przecieru można dodać troszkę żelatyny.

Zupa grzybowa

SKŁADNIKI NA 4 PORCJE:

· 3 dkg grzybów suszonych
· 1 pęczek włoszczyzny
· 1/2 cebuli
· 1/2 śmietany (niskotłuszczowej)
· łyżeczka mąki (1 dag)

SPOSÓB PRZYGOTOWANIA:

Grzyby namoczyć i ugotować. Włoszczyznę zetrzeć na tarce z grubymi oczkami. Cebulę posiekać i ugotować razem z włoszczyzną

Grzyby odcedzić, posiekać i razem z wywarem dodać do włoszczyzny

Mąkę rozprowadzić śmietaną i niewielką ilością gorącego wywaru, zagęścić zupę

Do smaku doprawić. Podawać z ryżem bądź łazankami

Dzwonki karpia duszone w porach

SKŁADNIKI NA 4 PORCJE:

· Mały karp (ok. 1 kg)
· 1/2 kg porów
· 3 łyżki margaryny
· szklanka białego wina lub bulionu rybnego
· sok z 1/2 cytryny
· 2 plasterki cytryny
· odrobina soli, biały pieprz do smaku

SPOSÓB PRZYGOTOWANIA:

Karpia podzielić na 4 dzwonki. Skropić sokiem z cytryny, oprószyć solą i białym pieprzem

Pory przepołowić wzdłuż, umyć i pokroić w półkążki. Do 1/2 porcji stopionej margaryny wrzucić pory i dusić 5 minut

Włożyć dzwonki karpia, dodać pozostałą porcję margaryny, plastry cytryny i wlać białe wino

Dusić około 25-30 minut na małym ogniu pod przykryciem. Podawać z ryżem

Pucharek zdrowia

SKŁADNIKI NA 4 PORCJE:

· 2 jabłka
· 4 plastry ananasa
· garść wyłuskanych orzechów laskowych
· 2 szklanki płatków kukurydzianych
· 1/2 opakowania jogurtu naturalnego
· łyżeczka miodu
· łyżeczka płatków migdałowych lub wiórków kokosowych

SPOSÓB PRZYGOTOWANIA:

Jogurt dokładnie wymieszać z miodem. Na dno każdego pucharka włożyć łyżeczkę jogurtu i wsypać płatki kukurydziane. Plasterki jabłek (ze skórką) ułożyć ozdobnie na płatkach kukurydzianych. Plasterki ananasa po odcedzeniu włożyć po jednym do każdej porcji

Posypać deser orzechami i płatkami migdałowymi lub wiórkami kokosowymi. Ozdobić jogurtem i listkami świeżej mięty

Służba siadała przy stole razem z rodziną przy blasku płonących świec

Pasterka o czwartej rano?

Sto lat temu w niemieckim czasopiśmie „Oberschlesien”, rocznik 1902-1903, ukazał się artykuł Paula Lechmanna „Weihnachts und Neujahrsgebräuche in Oberschlesien” (Zwyczaje bożonarodzeniowe i noworoczne na Górnym Śląsku). Autor pochodził z miejscowości Tharnau, czyli z dzisiejszego Tarnowa Grodkowskiego i był najprawdopodobniej ewangelikiem.

Wiele przedstawionych przez niego obyczajów było powszechnie znanych na całym Górnym Śląsku. Niektóre z nich uległy zapomnieniu. Czasami autor uznał, że są już na wymarciu. Zwracał uwagę na przedchrześcijańskie tradycje niektórych zwyczajów. Według tych przekonań Boże Narodzenie było czasem, kiedy ludzie poddawali się działaniom sił ponadnaturalnych w postaci różnego rodzaju demonów, mających wpływ na człowiecze losy. Szczególnie miało to dotyczyć dwunastu dni między Wigilią a świętem Trzech Króli.

„W okresie poprzedzającym Boże Narodzenie powszechnie obchodzono na naszym terenie św. Mikołaja, który często odwiedzał w tym dniu wszystkie domy danej wioski. Po takim obchodzie młodzież zbierała się w miejscowej karczmie i przy napojach alkoholowych oraz grze w karty kończyła imprezę.

W czasie od św. Mikołaja do Wigilii budowano powszechnie w śląskich domach na wsiach stajenki betlejemskie. Czasami wykorzystywano w tym celu część pokoju. Na specjalnej podstawie stawiano stajnię, której wnętrze oświetlano małymi lampkami. Umieszczano wewnątrz papierowe postaci Dzieciątka Jezus, Matki Boskiej oraz św. Józefa. Nie mogło oczywiście zabraknąć wołu i osła, a także zawieszonych ponad nimi aniołków. Przed Dzieciątkiem klęczeli pasterze, a powyżej świeciła gwiazda betlejemska, która doprowadziła do stajenki Trzech Króli, składających hołd Zbawicielowi świata. Całość umoszczona mchem uzupełniona była jeszcze innymi postaciami.

Przed stajenką spędzano długie grudniowe wieczory w oczekiwaniu na nadejście świąt Bożego Narodzenia. W samą Wigilię już od rana wypiekano ciasta świąteczne. W miasteczkach i miejscach targowych odwiedzano jarmarki, aby zrobić ostatnie zakupy. Po południu gospodynie przygotowywały wigilijną kolację, a mężczyźni stroili, zadomowioną już na całym naszym terenie, choinkę. Jako dekoracje służyły przede wszystkim różnego rodzaju ciasteczka, w tym również w kształcie ludzkich postaci oraz orzechy, jabłka i inne podobne słodkości. Drzewko przyozdabiano także złotą lub srebrną lametą. Nie mogło zabraknąć oświetlenia w postaci specjalnie przyklejonych lampek.

Kiedy na niebie ukazywała się pierwsza gwiazda zamierała wszelka praca. Rodzina i służba, jeżeli taka była w domu, zasiadała do stołu oświetlonego najczęściej tylko światłem świec. Tradycyjne potrawy wigilijne starano się spożywać z należytą dokładnością. Unikano pozostawiania resztek pokarmów. Nawet ości zbierano troskliwie i jedna z kobiet zanosiła je do ogrodu pod drzewa owocowe. Także bydło otrzymywało w tym dniu lepsze pożywienie.

Po wieczerzy zmywano naczynia i dopiero wtedy następowała ceremonia związana z przekazywaniem podarków. Autor wspomina również o charakterystycznym dla okolic powiatu opolskiego zwyczaju przebierania się kobiet w postać „Dzieciątka”. Najczęściej jednak dzieci były wyproszone z pokoju, gdzie znajdowała się choinka, aby nie przeszkadzały narodzonemu Jezusowi w dostarczeniu podarków z nieba. W odrębnej izbie oczekiwały na sygnał, śpiewając kolędy. Gdy usłyszały wreszcie dźwięk dzwonka i mogły uchylić drzwi do pomieszczenia, gdzie stało w pełnej gali świąteczne drzewko, pod którym znajdowały się tak długo wyczekiwane prezenty.

Były wówczas także miejscowości, gdzie „Dzieciątko” przychodziło późną nocą, w czasie snu dzieci, tak że oglądały one swoje podarki dopiero następnego ranka. Pozostałą część wieczoru spędzano najczęściej w gronie rodzinnym, czasami w jednym domu spotykało się kilka zaprzyjaźnionych rodzin, często grano w karty.

Jak podaje autor publikacji, około godziny czwartej nad ranem odbywała się uroczysta msza bożonarodzeniowa (W oryginale jest zapisane: „Geht es auf den Morgen zu, so ruft gegen vier Uhr die Glocke des Dorfkirchleins die Bewohner in die Christmesse.”). Informacja ta jest dla mnie prawdziwą niespodzianką i należy ją przyjąć z należytą ostrożnością. Tradycja pasterki o północy wydaje się bowiem tak oczywista, że prawdopodobnie autorowi zdarzyła się tutaj pomyłka czasowa.

W kolejnych dwóch dniach świątecznych czas spędzano raczej w rodzinnym gronie i dopiero na św. Jana Apostoła, tj. 27 grudnia, życie na wsiach nabierało poświątecznego tempa. Gospodarze wracali do codziennej pracy. Jedynie młodzież szukała okazji, aby się „wyszumieć” z okazji Bożego Narodzenia. W tym dniu organizowała np. wyjazdy saniami. Młodzi spędzali po południu na zabawie. Wieczorami towarzystwo wracało i w miejscowej karczmie tańczono do późnej nocy.

RUDOLF MOHLEK

DZIECI LISTY PISZĄ

KOCHANY MIKOŁAJU!

Byłam grzeczną dziewczynką przez cały rok i wszystko, czego pragnę na gwiazdkę to pokój, miłość i radość dla wszystkich ludzi na świecie na wszystkich kontynentach.

TWOJA SARA

Droga Saro!

Twoi rodzice chyba palili trawkę jak cię poczynali!

ŚWIĘTY

KOCHANY MIKOŁAJU!

Ja naprawdę bardzo, bardzo, bardzo pragnę dostać misia przytulankę w tym roku. Proszę, proszę, proszę, proszę.

TIMMY

Drogi Timmy!

To poniżające błagalne jęczenie może działać na Twoich sfrustrowanych starych, ale nie na mnie. Znowu dostajesz sweter !!!

ŚWIĘTY

KOCHANY MIKOŁAJU!

Co robisz przez pozostałe 364 dni w roku? Produkujesz zabawki? Twój przyjaciel Tom.

Drogi Tom!

Wszystkie zabawki są „made in China”, a niektóre z Tajwanu. Mam przytulną garsonierę w Vegas gdzie spędzam większość czasu kręcąc nisko-budżetowe filmy porno. Relaksuje się też puszczając kasę przy stołach ruletki. No cóż, sam chciałeś to wiedzieć...

ŚWIĘTY

KOCHANY MIKOŁAJU!

Zostawiłam dla Ciebie mleko i ciasteczka pod choinką, a dla Twoich reniferów - marchewkę pod tylnymi drzwiami.

KOCHAJĄCA SUSAN

Droga Susan!

Po mleku mam biegunkę, a renifery po marchewce puszczają takie gazy, że nie mogę utrzymać lejców jak jedziemy saniami. Chcesz mi zrobić przysługę? - zostaw mi butelkę szkockiej...

ŚWIĘTY

NAJUKOCHAŃSZY MIKOŁAJUNIU!

Nie mamy komina w naszym domu więc jak się do nas dostaniesz?

KOCHAJĄCY MARECZEK

Marku,

Po pierwsze przestań nazywać siebie Mareczek, bo właśnie za to zbierasz manto w szkole. Po drugie nie mieszkasz w żadnym domu, tylko w cholernym kwaterunkowym M2. Po trzecie wchodzę do Twojej nory tak jak wszyscy włamywacze - przez okno w sypialni.

SŁODKICH SNÓW, MIKOŁAJ

Chciał tylko tańczyć i tańczyć. Nagle okazało się, że we Wrocławiu nie wszystkie drogi prowadzą do teatru. Lekarze postawili diagnozę: sclerosis multiplex, stwardnienie rozsiane.

Pierrot nie schodzi ze sceny

Znam Piotra od 150 lat, chociaż tak naprawdę spotkaliśmy się w ósmej klasie. Nasza klasa mieściła się na samym końcu korytarza starego zamku w Białej Prudnickiej. Przygotowywaliśmy przedstawienie satyryczne z okazji urodzin dyrektora szkoły i wtedy w drzwiach stanął Piotruś Myszyński.

On, uczeń V klasy, miał wziąć udział w naszym programie. Był taki malutki, drobniutki, o jasnej buzi efeba okolonej gęstą czupryną czarnych, kręconych włosów. Rozstawił przyniesiony przez siebie pergaminowy ekran, na którym nagle zaczęła tańczyć egzotyczna, gibka tancerka w powłóczystej sukni, potem Marlena Dietrich z charakterystyczną długą lufką zakończoną papierosem i nikt nie zauważył nawet, kiedy zmieniał płytę na adapterze „bambino".

Oglądaliśmy po raz pierwszy prawdziwy teatr cieni. Po występie kłaniał się nisko, plącząc się w wielkiej, atłasowej podomce swojej pani wychowawczyni. Od tego dnia zostaliśmy companieros na całe życie: ja z VIII a i on – Piotruś z V b.

Piotruś wyrósł na pięknego, smukłego młodzieńca, w którym było coś eterycznego. Ludzie mówili: – On się nie porusza, nie stąpa, on się unosi nad ziemią, on tańczy każdym uniesieniem ramion, każdym gestem swych przepięknych, smukłych dłoni. A ludzie w Białej zawsze wiedzą co mówią. Wtedy wymyśliłam dla niego rolę Prometeusza w wielkim spektaklu pantomimiczno-muzycznym. Przyszło całe miasto. Głowa przy głowie, muzyka Ravela i on: Piotr Myszyński – tragiczny Prometeusz odrzucony przez bogów i zdradzony przez ludzi. Niby wszyscy wiedzieli, że to „synek od fotografa", ale może już wtedy zaczęli wątpić?

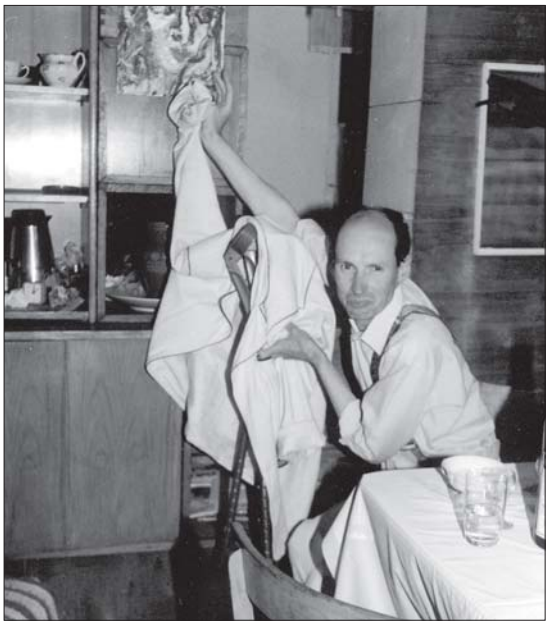

Ojciec Piotra, Bogdan Myszyński, był artystą fotografikiem. Jego zdjęcia, nawet te paszportowe z jednym odsłoniętym uchem, miały swoją opowieść. Zbudował dom na skarpie, a potem jakiś czas przed swoją śmiercią – pracownię malarską przy domu: tylko dla Piotra, aby mógł czuć się bezpiecznie.

Ojciec Piotra był demiurgiem, potrafił zbudować wszystko i wszystko zniszczyć. Umarł, ale Piotra nie opuścił nigdy. Zwłaszcza wtedy, gdy Piotr poszedł w wielki świat, ten co leżał daleko poza granicami Białej. Postanowił zostać tancerzem takim jak Isadora Duncan, chciał wytańczyć siebie i świat cały.

OKLASKI NA STOJĄCO

Pierwszym wielkim miastem po drodze, wtedy w latach siedemdziesiątych, było Opole. Drugie liceum słynęło ze swoich nietuzinkowych wychowawców i wychowanków. Piotr licealista zatańczył swój autorski program w czasie wielkiej imprezy kulturalnej zorganizowanej przez studentów Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Po programie rektor uczelni był oczarowany. Ściskając dłoń świeżo upieczonego licealisty powiedział: „Będziemy czekali na pana z otwartymi ramionami, gdyby zechciał pan zostać studentem naszej Alma Mater". Ale Piotr chciał tylko tańczyć, tańczyć, tańczyć. Wiedzieli o tym nawet współpasażerowie na przystanku nr 8 opolskiego dworca, skąd odchodziły autobusy do Białej.

Na WSP działała „Koleina – rodzina artystyczna", kabaret, teatr, a czasami sztab organizacyjny studenckich imprez kulturalnych. W czasie wakacji Piotr pojechał z 12-osobową grupą kabaretową w kieleckie. „Syrenką" jechały dekoracje, sprzęt nagłaśniający i Piotr z własną scenografią. Zaczynał tańczyć dopiero wtedy, gdy publiczność przestawała rechotać i kręcić się na krzesłach. Już po paru minutach jego występu zalegała głęboka cisza i pełne wyrazu skupienie, mimo iż jego ekspresja i żywiołowość rozsadzały ramy sceny. A potem oklaskiwano go długo i długo. Na stojąco.

OPOWIEŚĆ O MARZENIACH

Piotr uciekł z Opola do Wrocławia nie dlatego, że Wrocław był miejscem magicznym, ale tam był Mistrz i jego zespół: Henryk Tomaszewski z Teatrem Pantomimy. Sztuka pantomimy wymaga stałej, ciężkiej pracy, nie tylko dla doskonalenia formy, lecz też dla jej utrzymania. Ciało artysty musi być sprawne, posłuszne rozkazom woli. Wrocławski Teatr Pantomimy miał swoją własną szkołę artystyczną, w której adepci pod okiem Mistrza przeobrażali się w wielkich mimów. W czasie pokazu eliminacyjnego Mistrz przypatrywał się tańczącemu Piotrowi z wielką uwagą, zapewne wiedział lepiej niż wszyscy, że Piotr to wielka indywidualność, którą trudno będzie zamknąć w jakiejkolwiek formule.

Kiedyś Piotr zemdlał na scenie. Upadł i stracił równowagę, zatoczył się jak pijany. Ktoś inny myślał, że jest pod wpływem narkotyku. U boku Piotra pojawił się wtedy najbardziej oddany Anioł Stróż, jego matka. Odtąd chodzili już razem od szpitala do szpitala, od badania do badania. Nagle okazało się, że we Wrocławiu nie wszystkie drogi prowadzą do teatru. Lekarze postawili diagnozę: sclerosis multiplex, stwardnienie rozsiane.

W czasie jednego z pierwszych pobytów w szpitalu specjalistycznym Piotr napisał ten wiersz:

Wypowiadanie słów i nieartykułowanych dźwięków
Zgrzyt butli tlenowych
Pacjenci zapadają na wózkach
Wstają z wózków jako sanitariusze
I popychają je przed sobą
Na widownię
Wypowiadając - ostrożnie! ostrożnie!
Przejeżdża niewidzialny tramwaj
Piszczy i zgrzyta ostatni na mieście.

Piotr wraca do Opola, a choroba drepcze mu po piętach, na razie wstydliwie, po cichu. Lada moment każe mu sięgnąć po kule, ale w Opolu okazuje jeszcze swoją łaskawość. Nowa szkoła na wyspie: Studium Kulturalno-Oświatowe było przytuliskiem dla różnej maści artystów. Chcieli zmieniać świat, ludzi, chcieli pozostawić swój ślad tu i teraz. Szymon, Gośka, Tomek, są wokół Piotra. Organizują happeningi, spektakle, wernisaże. Piotr robi pantomimę, swoją pantomimę, przewija się w niej stale jeden wątek: smutnego Pierrota.

Blada, pobielona twarz mima, czarny trykot zlewający się z zupełnie pustą sceną, wyważone, oszczędne ruchy i gesty, czyniły jego opowieść o człowieku i umarłych marzeniach głęboko wstrząsającą. Wtedy Piotr zaczął malować obrazy. Nadal pisał wiersze:

Popołudnie w Białej
Idę wysadzony z toru
Chwiejąc się na boki
Z nadzieją przetrwania
Do przyszłego dnia
Szarość uciska mózg
Na placu bawią się smarkacze
Krzykliwe miesiące
Nudy wakacyjnej
Czernieją resztkami ciepła
Wcześnie późno budzę się
Do życia.

PRZECHYTRZYŁ LOS

Czarek Grenda przyjechał do Prudnika aż z Warszawy, za pracą. W Prudnickim Domu Kultury założył teatr ruchu Apage, musiał przecież coś robić po pracy. Piotr jeździł do Prudnika, bo tam działał Klub Ludzi Piszących. Przyjaciele z klubu wyciągali mu jego wiersze z przepastnej szuflady, namawiali do publikacji. Ale najpierw najważniejszy w Prudniku był Czarek i jego teatr. Stworzyli razem spektakl pt. „Domino", Piotr był gwiazdą zespołu. Wchodził na scenę o kulach, a inni wnosili za nim jego obrazy, po czym następowała rzecz dziwna, niewytłumaczalna: obrazy ożywały, wypełniały całą scenę i unosiły Piotra w powietrze. On grał, nie poruszając się z miejsca.

Młodzi ludzie o pięknych, gibkich ciałach otaczali go szczelnie, rozbiegali się po scenie i wracali, jak gdyby nie mogli oderwać się od niego. Po spektaklu aktorzy podnosili z podłogi kule Piotra, a publiczność patrzyła na nie jak na konieczny rekwizyt.

Spektakl pokazywany był w Opolu w klubie studenckim: publiczność nie chciała opuścić sali, chcieli dyskutować głównie z Piotrem. Potem spełniło się marzenie Czarka i zagrali w „Starej Prochowni" w Warszawie. Pisano o Piotrze z niedowierzaniem w stołecznych gazetach. Czarek wrócił do Warszawy, Piotr do Białej.

Piotr przechytrzył los, który deptał mu po piętach. Po spotkaniu z teatrem Apage wiedział już, że kule mogą być rekwizytem, a wiersze i obrazy są silniejsze niż sprawne mięśnie. Wiedział, że ludzie potrzebują na scenie prawdy, nie tylko olśnienia, że tęsknią za drugim człowiekiem, który potrafi powiedzieć prosto w oczy: patrz, oto jestem ja, człowiek w całej mojej boleści i całej chwale.

W pracowni malarskiej u Piotra na pięterku, w domu, który zbudował jego ojciec przybywa obrazów. Całe w ciemnych, intensywnych błękitach pokazują plasterki Białej, z niekończącą się opowieścią o drodze pod wieżą piastowskiego zamku, o kopułach kościoła.

I o ludziach wędrujących drogą pod górę.

GABRYELA KOMARNICKA

Obrazy Piotra Myszyńskiego

Wiersze Piotra Myszyńskiego ukazały się w almanachach: „Porządkowanie marzeń" (1995), „Smak soli" (1996), „Ślady na ziemi" (1996), „Prostowanie świata" (1998). Jego autorskie tomiki to „Wiersze" (1994), „Pantomima wierszy" (1997) i „Tańczę" (2001). Wystawy obrazów Piotra miały miejsce w Dinklage (Niemcy, 1993), Krakowie (1994), Marienheide (Niemcy 1995), w Muzeum Ziemi Prudnickiej w Prudniku (1995), w Białej (1996) i Mosznej (1997) i Opolu (2000).

PRZYSMAKI „PANORAMY"

Proponuje Anna Kampa z gminy Turawa

PIERNIK HERBACIANY: 5 jajek, po szklance: cukru, oleju, esencji herbacianej i mąki, 2 łyżeczki sody, przyprawa do piernika. Żółtko utrzeć z cukrem, dodać rozpuszczony chłodny miód (do smaku), olej, herbatę, mąkę z sodą i przyprawą, pianę z białek. Piec ok. 40 min. w temp. 180°C. Po wyciągnięciu polukrować, polać polewą czekoladową, przełożyć ulubioną marmoladą – wedle upodobania. Można posypać tylko cukrem pudrem.

Z LEPSZEJ PÓŁKI

Thomas Cussans

NIEWIARYGODNE WYPRAWY 60 pasjonujących opowieści o ludzkiej wytrzymałości

DLA POSZUKIWACZY

BELLONA

Dzieje ludzi udających się w niezwykłe podróże zachwycają nas i wprawiają w osłupienie. Niektóre wyprawy z założenia miały charakter przygody, niektóre - mimo niefortunnych początków - kończyły się hucznie. Jedne przypominały kataklizm, w czasie innych święcono triumfy, wytrwale zmagając się z przeciwnościami losu. Jedni podróżnicy przetrwali, inni zginęli. Co skłaniało ich do ryzykowania własnym życiem? Dlaczego narażali się na niebezpieczeństwa? Fenomenalne obrazy, od zapierających dech w piersiach szczytów po groźne, otwarte morza, oraz szczegółowe mapy i frapujące spostrzeżenia - to wszystko może stanowić inspirację dla spragnionych przygód.

POLSKA WEDŁUG INTERNAUTÓW

PRZEWODNIK

Bezdroża

Dzięki „Polsce według internautów", jedynemu przewodnikowi na rynku współtworzonemu przez pasjonatów podróży z całego kraju, łatwo dotrzesz w regiony o żywej i bogatej kulturze, zwiedzisz urokliwe miasteczka oraz odnajdziesz maleńkie wioski, pełne nikomu nieznanych skarbów. Poznasz fascynującą historię ziemi przodków. Dowiesz się, gdzie organizowane są największe i najciekawsze imprezy oraz gdzie udać się na poszukiwanie ciszy i samotności. Przewodniki pokaże Ci Polskę, której warto poświęcić czas,miejsca w twojej okolicy, których nie znałeś wcześniej. Potwierdzają i polecają je osoby, które już do nich dotarły i zdążyły się nimi zachwycić.

Bezdroża

Marek Kalmus

TYBET Legenda i rzeczywistość

PODRÓŻE

Najobszerniejsza i najbardziej gruntowna monografia polskiego autora na temat Tybetu i buddyzmu tybetańskiego. Autor opisuje istotne kwestie buddyzmu, ezoteryczną sztukę wadżrajany, rytuały, inicjacje, medytacje znaczenie mandali. Wprowadza w tajemną medycynę tybetańską, systemy wróżebne, opisuje znaczenie amuletów i tradycje Tybetańczyków. Kilkaset zdjęć ilustrujących tekst ukazuje niezwykłe krajobrazy Dachu Świata, stare klasztory, życie tak mnichów jak i zwykłych ludzi. Ta fotograficzna relacja z wieloletnich wędrówek autora daje wyobrażenie o specyfice i bogactwie kultury Kraju Śniegów.

Liczne pobyty Marka Kalmusa w klasztorach, spotkania z Dalaj Lamą i z licznymi inkarnowanymi lamami oraz uczonymi tybetańskimi, bezpośredni kontakt z pielgrzymami oraz ze zwykłymi mieszkańcami regionu dały mu wielką wiedzę praktyczną i doświadczenie. Dzięki temu „Tybet. Legenda i rzeczywistość" to książka o żywej narracji oraz wciągająca i pasjonująca opowieść.

Dzięki Tybetańczykom - pisze Marek Kalmus - ich pogodzie ducha nauczyłem się, nawet w obliczu najgorszych przeciwności losu, patrzeć na życie bardziej otwarcie, spokojnie i uważnie. Było to dla mnie również inspiracją do ukończenia drugiego kierunku studiów: filozofii i kulturoznawstwa orientalnego oraz do napisania pracy dyplomowej Hermeneutyka sztuki tybetańskiej.

Barbara Stanisławczyk

MIŁOSNE GRY MARKA HŁASKI

BIOGRAFIA

REBIS

Literacka próba opisu skomplikowanego życia uczuciowego Marka Hłaski. Uwielbiały go kobiety i kochali mężczyźni, ale on mężczyzn kochać nie chciał, a kobiet nie potrafił. Trafił w środowisko ludzi, o których Maria Hłasko mówiła: „Nauczyli mego syna pić wódkę i chcieli nauczyć wielu rzeczy ohydnych, mimo że przykrytych szatą poezji". Znalazł się też w centrum wielkiej polityki, a był tylko młodym geniuszem, który się zbuntował. Za co zapłacił wielką cenę.

Autorka nie ukrywała, że wybrała Marka Hłaskę na bohatera, ponieważ był ciekawy pod względem literackim, choć prywatnie nie chciałaby dzielić z nim życia.

Marek Hłasko w książce Barbary Stanisławczyk to nie tyle pisarz, ile człowiek z krwi i kości. To ktoś, kto chciał tworzyć, a uwikłany został w świat wielkiej polityki, to człowiek niespokojny, wciąż gorączkowo szukający miłości. Postać tragiczna, wciąż jeszcze odkrywana, zniszczona przez swoje czasy i niezaspokojone pragnienia.

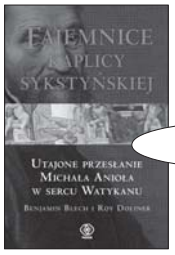

Benjamin Blech, Roy Doliner

TAJEMNICE KAPLICY SYKSTYŃSKIEJ

HISTORIA

REBIS

Tak jak w czasie przeprowadzonego niedawno oczyszczenia fresków usunięto warstwa po warstwie nagromadzony na nich przez stulecia brud, tak na kartach tej książki podjęto próbę zmycia z najsłynniejszego i najpopularniejszego skarbu sztuki na świecie całych wieków uprzedzeń, cenzury i zwykłej głupoty. Nigdy już nie spojrzymy na Kaplicę Sykstyńską Michała Anioła tym samym okiem.

Pięćset lat temu Michał Anioł rozpoczął prace nad malowidłami na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej, które stały się najsłynniejszym na świecie dziełem sztuki. Każdego roku miliony ludzi przyjeżdżają do Rzymu, by je oglądać – największy na świecie fresk w najświętszej kaplicy chrześcijaństwa. Na owym olbrzymim, wspaniałym dziele nie ma jednak ani jednego przedstawienia chrześcijańskiego. Tajemnice Kaplicy Sykstyńskiej są fascynującą opowieścią o tym, jak Michał Anioł wplótł w malowidła przesłanie braterstwa, tolerancji i wolnomyślności, by wesprzeć „towarzyszy podróży" w dążeniu do stawienia oporu represyjnemu Kościołowi tamtej epoki.

Dzięki wieloletniej nauce w pewnej ustronnej szkole we Florencji, ogarnięty chęcią dotarcia do prawdy zawartej w tekstach judaistycznych i kabalistycznych, prawdy stojącej w sprzeczności z przyjętą doktryną chrześcijańską, Michał Anioł pragnął przekazać widzom to, w co tak głęboko wierzył. Nie miał zamiaru pozwolić Kościołowi, by zamknął mu usta. Do przekazania tego, czego nie pozwalano mu powiedzieć otwarcie, użył tajemnego języka, znajdując genialny sposób komunikacji z wszystkimi, którzy są na tyle dociekliwi, by się go nauczyć.

KOS Wydawnictwo KOS

Gladys Lobos

MAGIA NUMEROLOGII

NIE Z TEJ ZIEMI

Książka jest owocem 30-letniej praktyki autorki. Zawiera wiedzę o wibracjach liczb i o wpływie tych wibracji na nasze życie, związki międzyludzkie i interakcje ze światem. Niewątpliwie jest to najlepsza książka o numerologii na polskim rynku.Uznając, że we wszechświecie istnieje porządek obejmujący wszystko od najmniejszej cząsteczki po cały kosmos oraz wychodząc z założenia, że nie ma nic statycznego, wszystko drga i wibruje, możemy zrozumieć, że liczby emitują energię. Ta energia ma wpływ na wszystko, co istnieje. Jej siła dosięga również człowieka, modelując jego charakter i przeznaczenie. Każdy z nas urodził się w dniu wyznaczonym mu zgodnie z Planem Wszechświata i pod wpływem Wibracji emitowanych w tym konkretnym momencie i miejscu.

Paul Spiegel

CO ZNACZY KOSZERNE? Żydowska wiara i życie

KOS Wydawnictwo KOS

NIEZNANE

Paul Spiegel urodził się w 1937 r. w Warendorfie. Okres władzy nazistowskiej przetrwał w ukryciu w Belgii, po oswobodzeniu powrócił do Niemiec. W latach sześćdziesiątych pracował jako redaktor, później jako rzecznik prasowy. W roku 2000 został wybrany przewodniczącym Centralnej Rady Żydów w Niemczech. To stanowisko piastował do swej śmierci w 2004 roku. Paul Spiegel pragnie zbliżyć obcych sobie ludzi. Udziela odpowiedzi na pytania związane z religią, tradycjami oraz dniem powszednim Żydów.

Antoni Dudek, Paweł Śpiewak

POLSKA 1989-2009 Ilustrowany komentarz historyczny

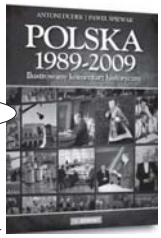

DEMART

ALBUM

Polska 1989-2009 to album podsumowujący dwie dekady wolnej Polski, ukazujący najważniejsze wydarzenia i przemiany polityczne, gospodarcze, społeczne i kulturalne. Tego niełatwego zadania podjęli się historyk IPN dr Antoni Dudek oraz socjolog, wykładowca UW dr Paweł Śpiewak. Książkę otwierają sceny kolejkowe i obrady okrągłego stołu, a zamykają doniesienia o wyborze Jerzego Buzka na przewodniczącego Parlamentu Europejskiego.

Tomasz Terlikowski

DEMART

GRZECHY KOŚCIOŁA

RELIGIA

Grzechy Kościoła to książka podejmująca trudne dla polskich katolików tematy takie jak: ludyczna odmiana katolicyzmu, mieszanie się instytucji kościoła do polityki, ruchy wewnątrz kościoła, Radio Maryja, brak tolerancji dla innych wyznań, bogacenie się kleru, pustoszenie kościołów, współpraca z bezpieką i inne.

Autor, Tomasz Terlikowski, to doktor filozofii, wyrazisty katolicki felietonista związany ostatnio z Rzeczpospolitą. Pokazuje zarówno nadużycia, jak i sytuacje, w których Kościół zareagował właściwie. Analizuje np. rozmiary takich zjawisk jak pedofilia wśród księży czy łamanie zasad celibatu, podaje przykłady zza Oceanu, omawiając poczynania Ojca Dyrektora, z których jasno wynika, że najsłynniejszy polski redemptorysta mógłby się jeszcze wiele nauczyć. Próbuje odpowiednio rozłożyć akcenty i zwrócić czytelnikom uwagę na fakt, jak łatwo jest manipulować opinią publiczną. Pomimo poruszania samych kontrowersyjnych tematów książka nie ujmuje ich sensacyjnie, ale poddaje pod rozwagę … czytelnika.

UŚMIECHNIJ SIĘ

Zbliżają się święta, lecz w rodzinie Jasia się nie przelewa. Zdesperowany Jasio pisze list do sw. Mikołaja.

„Drogi św. Mikołaju jestem bardzo biedny ale chciałbym dostać na gwiazdkę klocki lego, piłkę i kolejkę elektryczną."

Panie na poczcie nie bardzo wiedzą co zrobić z tym listem. Tak się wzruszają losem biednego Jasia, że postanawiają spełnić jego życzenia. Jednak pracownice poczty same dużo nie zarabiają więc pieniędzy starczyło tylko na piłkę i klocki. Wysyłają prezenty do Jasia. Po jakimś czasie przychodzi list od chłopca:

„Drogi Mikołaju dziękuję ci za wspaniałe prezenty, a tę kolejkę to pewnie na poczcie mi zwinęli."

*

Przyjaciel pyta Fąfarę:

- Jak minęły święta?

- Wspaniale! Żona serwowała mi same zagraniczne potrwy.

- Jakie?

- Barszcz ukraiński, fasolkę po bretońsku, pierogi ruskie i sznycel po wiedeńsku z kapustą włoską.

*

Jasio pisze list do świętego Mikołaja: *„Chciałbym narty, łyżwy, sanki i grypę na zakończenie ferii świątecznych"*.

*

Nowicki puka do drzwi sąsiadki i pyta:

- Mogłabyś mi pożyczyć soli?

- Nie.

- A cukru?

- Nie.

- A może chociaż mąki?

- Nie.

- A czy w ogóle jest coś, co mogłabyś mi pożyczyć?

- Tak. Mogę ci pożyczyć wesołych świąt!

*

Mama oznajmia Jasiowi:

- Dzisiejszej nocy święty Mikołaj przyniósł ci w prezencie siostrzyczkę. Czy chcesz ją zobaczyć?

- Nie - odpowiada Jaś - wolę zobaczyć tego Mikołaja!

*

Jak samobójca spędza święta Bożego Narodzenia?

- Wiesza się na choince.

*

Przedszkolak pyta kolegę:

- Co dostałeś na gwiazdkę?

- Trąbkę.

- Mówiłeś, że dostaniesz lepsze prezenty!

- To super prezent! Dzięki niej zarabiam codziennie złotówkę!

- W jaki sposób?

- Tata mi daje, żebym przestał trąbić!

*

Piątego grudnia kilkuletnia Małgosia kładąc się do łóżka mówi do dziadka:

- Kiedy rano się obudzę, chciałabym znaleźć w swoim łóżku piękną, jasnowłosą laleczkę!

- Ja też chciałbym! - mówi dziadek.

*

Ksiądz przychodzi po kolędzie do biednej rodziny mieszkającej na wsi. Pociesza, że święta rodzina też była biedna i zostawia obrazek przedstawiający Jezusa, Józefa i Maryję. Gdy tylko wyszedł, ojciec bierze obrazek do ręki i mówi:

- Widać nie byli tak biedni jak my, bo mieli pieniądze na fotografa!

Naklejki ostrzegawcze na produktach

* Na suszarce do włosów: Nie używać podczas snu.
* Na niektórych mrożonkach: Zalecany sposób przyrządzania – rozmrozić.
* Na większości pudełek lampek choinkowych: Wyłącznie do użytku w pomieszczeniu zamkniętym lub na zewnątrz.
* Na kostiumie Supermana dla dzieci: Włożenie tego kombinezonu nie umożliwi ci latania.
* Na szwedzkiej pile mechanicznej: Nie zatrzymywać łańcucha za pomocą rąk.
* Na pudełku od żelazka Rowenta: Nie prasować ubrań na ciele.
* Na leku przeciw kaszlowi dla dzieci: Nie prowadzić samochodu ani nie obsługiwać urządzeń mechanicznych po zażyciu preparatu.
* Na tabletkach nasennych: Uwaga, może powodować senność.
* Na orzeszkach ziemnych: Uwaga, opakowanie zawiera orzeszki!

W krzywym zwierciadle

Jeszcze tylko trzeba walnąć siekierą karpia, bo małżonka wrażliwa jest na męki zwierzątka i nie może na nie patrzeć, choć mnie męczy od 15 lat bez zmrużenia oka.

RATUNKU! ZNOWU ŚWIĘTA

Najpierw trzeba kupić prezenty. Oznacza to, że będę latał po sklepach, przepychał się przez spoconych ludzi z obłędem w oczach, żeby wydać mnóstwo kasy na nikomu potrzebne pierdoły.

Co gorsza, wszystko już kiedyś komuś kupiłem. Wujek Jurek dostał w zeszłym roku flaszkę, a przecież nie kupię mu w tym roku książki, bo ten facet nigdy nie przeczytał nic więcej niż tekst na etykiecie półlitrówki.

Ciocię Basię rok temu uraczyłem kremem nawilżającym z przeceny, któremu już w sylwestra kończył się termin ważności. W tym roku jedynym kosmetykiem dla tej lampucery byłby krem przeciwzmarszczkowy, ale po pierwsze – takich zmarszczek żaden krem nie wygładzi, a po drugie – nie wydam na kosmetyki całej kasy na Boże Narodzenie.

Dziecko mordę drze o jakiś nowy program komputerowy, choć i tak wiadomo, że przestanie się nim zajmować po 48 godzinach, bo każda gra jest dla niego za trudna. Żona będzie miała jak zwykle pretensje, że Kowalska z jej biura dostanie coś ładniejszego. W rezultacie kupię byle co – jak co roku.

Potem śledzik w pracy z ludźmi, którzy chętnie podłożyliby mi świnię i patrzenie na męki szefa, życzącego „dużo pieniędzy", choć wszyscy wiedzą, że dopiero wtedy byłby szczęśliwy, gdybym pracował za miskę zupy z brukwi przykuty łańcuchem do komputera. Krwiopijca jeden. Wszyscy się nawalą jak szpaki, a pan Wiesio obślini biust pani Halinki z księgowości. Następnego dnia obudzę się z kacem, w dodatku żona będzie robić wymówki.

Jeszcze tylko trzeba walnąć siekierą karpia, bo małżonka wrażliwa jest na męki zwierzątka i nie może na nie patrzeć, choć mnie męczy od 15 lat bez zmrużenia oka. Po rzezi muszę przynieść i przystroić choinkę z dzieckiem, żeby miało ciepłe wspomnienia z dzieciństwa, a ono w nosie ma sosenkę, mnie i Boże Narodzenie. Kolacyjka wigilijna to jedna wielka męka. Co za wariat wymyślił łzawy termin „rodzinna wieczerza"? Przyjdą wszyscy ci, od których na co dzień trzymam się z daleka z dobrym skutkiem. Usiądziemy za stołem. Trzeba będzie się kłamliwie ucieszyć z kra-

watu kupionego na bazarze od Wietnamczyków, który na następny dzień wyrzucę do śmietnika. Dostanę też najtańszy koniak i jakieś kosmetyki. Już dzień wcześniej wiem jakie – są mocno przecenione w gazetce podrzucanej przez pobliski supermarket. Muszę przecież jak najszybciej wyprzedać to, czego nie udało się upchnąć ludziom.

Po prezentach się zaczną te same kretyńskie dowcipy wuja Jurka, zwłaszcza ten o sołtysie z Wąchocka. Wszyscy będą dokarmiać mojego psa po to, żeby narzygał w nocy na pościel. Ciotka załawi się po dwóch godzinach przeżuwania kapusty z wytrwałością tapira i zacznie płakać: Jak to dobrze, że trzymamy się razem. Za dwie godziny kiedy kieliszków pochłonie więcej niż karpia, zacznie wyzywać swojego ślubnego od nienormalnych. To oczywiście prawda, ale dlaczego zaraz potem rzuca w niego salaterką po śledziach? Do tego ciotka nigdy nie trafia, a plama na wersalce cuchnie jeszcze przez dwa tygodnie po Wigilii. Jedyna nadzieja, że akurat w tym roku 6-letnia latorośl kuzynostwa z Brzegu nie nawali w gacie w połowie kolacji i nie zakomunikuje o tym radośnie jeszcze przed deserem. Bo to, że coś wywali sobie na bialutką koszulkę, to pewne jak w banku.

Jeszcze muszę przeżyć gadki o polityce, przy których wszyscy oczywiście skoczą sobie do gardeł i na siebie się poobrażają. Ostatnią rozrywką będzie wyprawa na pasterkę, bo to religijna rodzina. Do tej pory nikt mi nie wyjaśnił po co tłuc się po nocy z promilami we krwi i stać na mrozie w bezruchu przez co najmniej godzinę. Moja małżonka tradycyjnie wywija od lat orła na schodkach kościółka. W kościele cuchnie jak w gorzelni, bo wierni tylko dlatego stoją na własnych nogach, bo za duży tłok, żeby upaść. Czasem tylko ktoś beknie albo puści głośno bąka, ale i tak nikt na to nie zwróci uwagi, bo wszyscy drzemią na stojąco. Wracając trzeba tylko będzie uważać na chłopców z osiedla, bo w Wigilię katolicka młodzież szczególnie lubi przypomnieć się bliźniemu. Rok temu zglanowali wujka Edka, ale on chyba tego nie zauważył, bo był zalany w płaskorzeźbę.

Moment zamykania drzwi za ostatnim z gości jest najszczęśliwszą chwilą w moim świątecznym życiu. Pozostaje kilka dni odpoczynku aż do sylwestra. O tym napiszę wam w styczniowym wydaniu „Panoramy".

ROMEK KOWALSKI Z OPOLA

Sprowadzanie zmarłych z zagranicy
załatwianie formalności
tel/fax 077/4652-456
www.machnik.ozimek.pl

P.U. MECH-GAZ
Ryszard Mroczkowski
Montaż instalacji gazowych w samochodach wszystkich typów
Serwis gwarancyjny i pogwarancyjny
homologacje, faktury VAT
raty bez żyrantów
Opole, Obrońców Stalingradu 54
tel. (77) 453 02 68, kom. 0601 48 44 46

Hurtownia Elektryczna
EL - KAJ
OFERUJEMY:
- styczniki
- przekaźniki
- rozłączniki
- odłączniki
- zwalniaki elektromagnetyczne
- przewody i kable
Opole, Cygana 4
Tel. 456 63 60

CENTRUM USŁUG POGRZEBOWYCH
ORION KAMIENIARSTWO
Opole, ul. Cmentarna 3
tel. całodobowy 457-37-28
kompleksowa organizacja pogrzebów
ekshumacja ● kremacja ● sprowadzanie zwłok z zagranicy ● pomoc w załatwianiu formalności ● stawianie i konserwacja nagrobków ● budowa piwniczek

REKLAMA

PRZYSMAKI „PANORAMY"

Proponuje Lidia Fronia z Węgier

MAKÓWKA:

O,5 kg mielonego maku, dwie zwykłe bułki, 20 dkg cukru, po szklance orzechów, rodzynek, migdałów, fig; 0,7 litra wrzącego mleka. Bułkę pokroić w kostkę. W salaterce układać warstwami bułkę i mak, wymieszać bakalie, cukier i tak do wyczerpania produktów. Zalać wrzącym mlekiem. Po ok. 30 minutach gotowe do spożycia.

OPOWIEŚĆ NA DWANAŚCIE ŁAP

Gdyby mogły przemówić okazałoby się, że ich losy są ciekawsze niż niejednego człowieka.

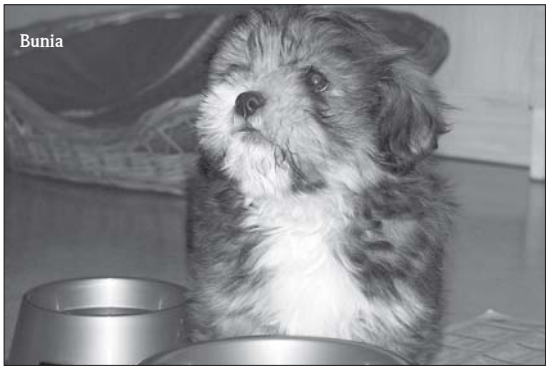
Bunia

Z OPOLA DO NOWEGO JORKU

Urodził się na jednej z podopolskich wsi, jego ojciec pojawił się równocześnie z objazdowym wesołym miasteczkiem, zniknął równie szybko jak karuzele. Tofik nie miał nawet budy, wychowywał się pomiędzy kozami w stodole. Do tej pory uwielbia mleko, jogurty i sery, ale zdaje sobie sprawę, że tak naprawdę to była jego rodzina zastępcza. Rodzinę ludzką pozyskał dzięki Emilce, która przyniosła go do domu prosto z łąki – na próbę. Był mały, zdenerwowany, ale został by pokochać dziadka i babcię, tak jak wcześniej mamkę kozę.

Kiedy starsi państwo wyjeżdżali do Niemiec na długie wakacje, Tofik wyruszył w swoją pierwszą prawdziwą podróż. Na granicy nikt go nawet nie zauważył, ale za to jego kuzyn Lakuś, hołubiony i wożony co

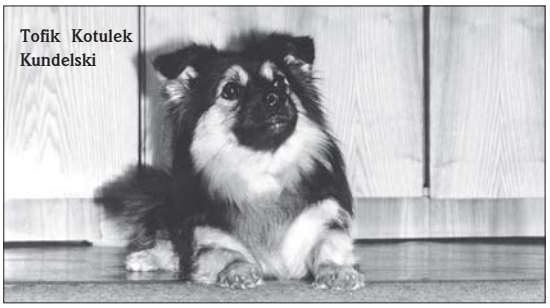
Tofik Kotulek Kundelski

miesiąc do psiego fryzjera biały pudel z papierami, nie zapałał miłością do krewniaka. Dostał histerii na widok czworonożnej konkurencji, która na dodatek pochodziła z gminu, nie ocierając się nawet o psią arystokrację. Nie było rady – Tofik wracał do Polski najbliższym transportem, aby zamieszkać u dwóch ciotek na opolskim ZWM. Po półrocznym leniuchowaniu na kanapie i oglądaniu telewizji wrócił na wieś do swoich. Życie spłatało mu figla. Jego opiekunowie odeszli pewnego dnia jeden po drugim. Odeszli na zawsze. Nie umiał zrozumieć co się stało – było mu smutno w niespodziewanie osamotnionym psim życiu.

Na następne pół roku pojechał do Korfantowa. Przyzwyczaił się, że co sześć miesięcy pakuje swoją miskę, gumowe zabawki i z sercem pełnym ufności przenosi się do kolejnego domu. Nie zdziwił się więc, gdy po tym czasie pojawiła się osoba znana mu jeszcze z dzieciństwa i powiedziała, że wyjeżdża w daleką podróż. Marzenia dziesiątków tysięcy Polaków zostały zredukowane do jednego zupełnie zwykłego kundelka. Lot nad oceanem nie był zbyt stresujący. Tofik siedział na własnym fotelu lotniczym, stewardesa przynosiła mu wodę w misce, o alkohol nie prosił. Obwieszone złotymi łańcuchami starsze Niemki podbiegały co chwilę do niego, patrzyły mu w ślepia, a on całą drogę ziewał straszliwie (no cóż różnica ciśnień), siejąc wokół woń kamienia nazębnego. Pracownik Imigration w Nowym Jorku tak zachwycił się tą nieznaną na amerykańskiej ziemi rasą, że z wrażenia zapomniał sprawdzić papiery nowemu obywatelowi USA.

Dom dzielił Tofik z kanarkiem. Bardzo go intrygowała ta żółta śpiewająca kuleczka. Wspólnota potrwała więc jedynie trzy dni, ponieważ Sabrina w czasie rytualnych przelotów dostała się między tofikowe łapki i skonała na miejscu. A przecież on chciał tylko przyjrzeć się jej z bliska i zaprzyjaźnić. Cóż zrobić, że miała takie słabe serce.

Tofik nigdy nie zapomni swojej pierwszej wizyty w Nowym Jorku – każdy przejeżdżający pojazd budził w nim lęk, zapachy dziwiły, psi park zachwycił, aczkolwiek nie rozumiał dlaczego jego koledzy nie zwracają na siebie uwagi, nie wąchają się jak w rodzinnej wsi, a raczej starają się nie wchodzić w kontakty interpersonalne. Pomyślał: „Co kraj to obyczaj i czemu oni rozmawiają w takim dziwnym języku?" Zaczął regularnie pracować razem ze swoją panią – ona siedziała za biurkiem, a on pod nim. W czasie lunchów wychodzili razem na Times Squere, gdzie zaczepiali go wszyscy przechodnie. Chcieli koniecznie wiedzieć co to za oryginalna odmiana. Nie wierzył swoim uszom, gdy pani w końcu powiedziała, że jest reprezentantem specjalnej rasy europejskiej... king of the street (król ulicy). W wieku czterech lat został więc nobilitowany, mimo iż papierów wcale nie przyznała mu królowa Anglii. Szybko nauczył się angielskiego. W zimie pojechał na narty, w lecie zwiedził niemal całą Kanadę. Odwiedził różne miejscowości w stanie New Jersey, Connecticut, Delaware, Maine, Maryland, Massachusetts, New Hampshire, Pensylwania, Vermont, Washington D.C., West Virginia.

Minęło kilka miesięcy. Tofik zastanawia się, czy czeka go kolejna przeprowadzka. Jego pani także o tym myśli: może pora zakończyć tułacze życie i wrócić do domu, gdziekolwiek on jest. To będą być może ostatnie święta Bożego Narodzenia, które Tofik spędzi w pobliżu Statuy Wolności.

Z TYBETU DO OPOLA

Ma korzenie tybetańskie, ale urodziła się w Czechach. Nie spodziewała się, że jej dom został wybrany jeszcze przed narodzinami. Nie wiedziała również, iż należy do jednej z najstarszych ras na świecie. Jej przodkowie 2000 lat temu pełnili funkcję stróżów świątyni Dalajlamy i dlatego uznawani byli za święte zwierzęta, symbol religii buddyjskiej. Nie można było ich kupić za pieniądze – dawane były w prezencie w dowód wdzięczności. Wierzono, że przyniosą szczęście swoim właścicielom. Trafiały jako „podarki pokojowe" dla przywódców ościennych państw i ludzi szczególnie zasłużonych, jak choćby wysokich rangą dygnitarzy. Według legendy, w XIII wieku pierwszego „małego Buddę" przywiózł do Europy Marco Polo, pewniejsze jest jednak że przybyły one na początku XX wieku. Nie do podważenia jest natomiast fakt, że w XXI wieku w małym koszyczku do Opola przyjechała Bunia. Czekała na swoich najbliższych w sklepie zoologicznym, schowana pod półką z rybkami. Kiedy weszli, wysunęła nieśmiało główkę i wtedy już wiedziała, że to będzie jej prawdziwa rodzina. Znowu zadziwiła się, że po wzięciu jej na ręce pani zaczęła oglądać jej małe łapki i krzyczeć zadowolona, że wyglądają jak kocie. Nie widziała w tym nic dziwnego – jej rodzeństwo i mama miały przecież takie same, a poza tym nie za bardzo wiedziała co to znaczy „kocie".

Zamieszkała na ZWM, zupełnie niedaleko od tofikowych ciotek. W domu czekał na nią kosz do spania, zabawki, własne miski, przysmaki, nawet gazety, których bynajmniej nie miała czytać. Zobaczyła, że wszyscy domownicy na nią czekali i to od dawna, zanim jeszcze się urodziła.

Zaraz potem dowiedziała się jak ma na imię, spodobało jej się, było takie bajkowe. Szybko nauczyła się polskiego. Poznała całe mieszkanie, nie boi się już przekraczać progu swojego pokoju, który dzieli razem z panią. Wie, że będzie bronić swojej rodziny, strzec wszystkich tak jak jej tybetańscy przodkowie czuwali nad bezpieczeństwem mnichów. To będą jej pierwsze święta, które spędzi we własnym domu, może nawet dostanie jakiś prezent pod choinkę. Na pewno dostanie.

MIĘDZY OPOLEM A NIEMCAMI

Jest jednym z kilkunastu rzadkich okazów europejskich. Ma lepsze papiery niż cała jego ludzka familia, która na stałe mieszka w Essen. Specjalnie wytatuowany numer w uchu nie pozwala o tym zapomnieć – jest dwunasty w Europie. Niby korzenie Basko pochodzą z Niemiec, ale w metryce ma wypisane: amerykańsko-kanadyjski owczarek biały. Jako osobna rasa został uznany dopiero w 1997 roku, mimo iż pierwsze szczeniaki przyszły na świat już w XIX wieku. On sam urodził się 19 kwietnia 1995 roku i był białą puchatą kuleczką, gdy na Międzynarodowej Wystawie Psów jego najbliżsi zapłacili za niego ponad 2000 DEM i zabrali go do domu. To był ostatni raz, gdy uczestniczył w takiej imprezie, jego papiery zostały głęboko schowane w szufladzie „na pamiątkę", a on sam zaczął życie w polsko-niemieckiej rodzinie.

Okazało się, że w czasie wakacji wszyscy ruszają do innego kraju, gdzie zawsze czeka na nich dwoje serdecznych ludzi. W Polsce nauczył się drugiego języka, został psim poliglotą. Ten drugi dom kojarzy mu się z częstym podróżowaniem. Opolszczyznę zna lepiej niż niejeden przejezdny. Najbardziej jednak lubi jeździć do Marszałek koło Turawy. Ma tam kilku zaprzyjaźnionych kolegów, no i jedną bardzo przystojną koleżankę. Dwa lata wcześniej do Turawy prawie na każdy weekend przyjeżdżał też Tofik, by skorzystać z darmowych kąpieli w Kaczych Dołach. Prawdopodobnie Bunia odwiedzi to miejsce na przyszłe wakacje, bo na razie jest za malutka.

Basko wygląda groźnie: ponad metr wysokości, kilkadziesiąt kilogramów, ale z natury jest flegmatykiem. Najbardziej lubi spać lub wpatrywać się w swoją panią. Są tak ze sobą związani, że bez niej nie chce jeść i wpada w głęboką depresję. Ostatnio pojechali pociągiem na ferie do Polski. Nie podróżował na gapę, miał normalny „ludzki" bilet. We wszystkich przedziałach był ścisk i tłok, a oni tylko we dwójkę, mimo że tyle miejsc czekało na odważnych współpasażerów. Śmieszyło to Baska – pozory mogą aż tak mylić. Gdy był dzieckiem wymyślił swój własny rytuał przywitalny z dziadkami: wita się z nimi dotykając ich nosem. W czasie jednej z wypraw do Polski, jego pani Malwina, postanowiła jechać dalej i wraz z przyjaciółmi zobaczyć Bajkał. Basko nie miał odpowiednich papierów, został w Opolu.

Kiedy minęło kilka godzin, nie mógł opanować łez, gdy usłyszał imię swojej pani. Dziadkowie nie wiedzieli co zrobić – taki duży i beczy. Nic nie skutkowało. Na szczęście dziewczyna znalazła w głębokiej Rosji kawałek cywilizowanego miejsca i zadzwoniła. Opiekun podsunął psu słuchawkę do ucha. Malwina przekonała go, że nie warto tak tęsknić, bo to przecież tylko chwila. Po telefonie Basko zaczął normalnie jeść i odwiedzać swoich znajomych z Marszałek.

Święta spędzi w Essen z całą rodziną. Przyjadą również dziadkowie z Opola. Znowu będą razem. Potem na kolejne spotkanie trzeba będzie czekać aż do wakacji.

AGNIESZKA MALIK

REKLAMA
MP
MAREK PIETREK
ZAKŁAD PRODUKCYJNO-USŁUGOWO -HANDLOWY
PRODUCENT
• więźby dachowej
• boazerii sosnowej
• palet drewnianych
• desek balkonowych
• tarcicy iglastej i liściastej
Tel. 077 417 53 04 - Tartak Chudoba
ZAGWIŹDZIE. ul. Lipowa 6, tel. 077 421 40 97

Indianie obserwowali przyrodę i zwierzęta, które uważali za swych braci. Często utożsamiali się z nimi, podpatrując ich zachowania. Sprawdź pod jakim indiańskim znakiem się urodziłeś.

Horoskop INDIAN

SOKÓŁ (21.III-19.IV)

Lubi ciągłe zmiany. Broni swego zdania, nawet gdy już sam wie, że nie jest ono prawdziwe. Potrzebuje być podziwiany. Nie należy do wielkich strategów, ale decyzje podejmuje szybko. Czasami chce postawić na swoim. Przy nim nie można się nudzić. Jest równocześnie najlepszym przyjacielem i najgroźniejszym wrogiem. Nie stać go na kompromis. Jest przekonany, że świat należy do niego.

UCZUCIE: Nie należy do wiernych partnerów, aczkolwiek wymaga tego od swego wybranka. Najlepszy związek stworzy z drugim Sokołem, który będzie podzielał jego nadmiar energii. W związku z Jeleniem korzystać będzie z jego pomysłowości. Inspirować będzie go również Wydra i Sowa.

ZDROWIE: Musi uważać na bóle migrenowe głowy. Często ma zbyt duże ciśnienie i stany zapalne stawów.

BÓBR (20.IV-20.V)

Nie szuka sensacji, woli swój bezpieczny świat, w którym otaczany jest szacunkiem. Dba o rodzinę. Stara się całe życie pomnażać dobra, nie zapominając jednak o akcjach charytatywnych i czynach społecznych. Można na niego liczyć, bo zawsze chętnie służy pomocą, nawet jeśli robi to bez uśmiechu. W pracy ważniejsza dla niego jest pensja niż stanowisko.

UCZUCIA: Nie lubi przypadkowych związków. W miłości potrzebuje poczucia bezpieczeństwa i oddania. Nie należy do typów chwilowych zdobywców. Stworzony jest do życia z Dzięciołem. Stabilność osiągnie również z drugim Bobrem.

ZDROWIE: Musi uważać na kłopoty żołądkowe. Czasami zatraca umiar w jedzeniu i piciu. Ma również kłopoty z gardłem.

JELEŃ (21.V-20.VI)

Należy do typu wrażliwców, mimo że na zewnątrz nie zawsze to okazuje. Jest lubiany w towarzystwie, wyczuwa nastroje innych. Jest znakomitym pocieszycielem. Często potrzebuje zmian, bo stałość mu nie służy. Nie może czuć się skrępowany. Chętnie podróżuje. Największą rozrywką są dla niego potyczki intelektualne. Lubi zgłębiać niepoznane, choć w wielu wypadkach robi to pobieżnie.

UCZUCIA: Związek z nim będzie bardzo burzliwy. Nie należy do najwierniejszych partnerów, więc można go zatrzymać wiecznie zaskakując. Jeśli choć na chwilę podąży samotnie, nigdy już nie wróci. Najlepszy związek stworzy z Sową, Wydrą lub Jeleniem.

ZDROWIE: Ma bardzo wrażliwy układ nerwowy, co często objawia się nawrotową depresją. Łatwo go zestresować.

DZIĘCIOŁ (21.VI-21.VII)

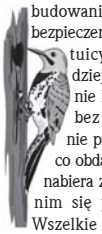

Jego głównym zadaniem jest wybudowanie gniazda i dbanie o bezpieczeństwo najbliższych. Intuicyjnie wyczuwa, gdy dzieje się komuś w rodzinie krzywda. Nie umie żyć bez ludzi i dlatego chętnie przywiązuje się do tych, co obdarzają go opieką. Długo nabiera zaufania do obcych, zanim się przed nimi otworzy. Wszelkie niepowodzenia dusi w sobie.

UCZUCIA: Należy do osób stałych, którym nie w głowie przelotne flirty. Zazwyczaj kocha do końca, jeśli partner troszczy się o domowe ognisko. Wspólnie idzie przez życie z Wilkiem lub Bobrem. Najlepszą harmonię osiągnie jednak z Wężem.

ZDROWIE: Należy do osób bardzo wrażliwych na ból. Nie za bardzo o siebie dba i dlatego często ma kłopoty z żołądkiem.

ŁOSOŚ (22.VII-21.VIII)

Musi zawsze brylować. Należy do urodzonych przywódców, którym trudno zaimponować. Nie jest egoistą, mimo że często tak właśnie jest oceniany. Lubi obdarowywać, aczkolwiek zawsze liczy na wdzięczność. Otacza się luksusem i przyjaciółmi, którzy umieją go docenić. Zajmuje wysokie stanowiska. Niezależnie od zawodu zawsze chce stać na świeczniku. Nie lubi krytyki.

UCZUCIA: Należy do osób zaborczych, które chcą partnera zagłaskać na śmierć. W miłości cechuje go walecznością połączona z wielkim uczuciem. W życiu najlepiej zrozumie go Łosoś i Sokół. Udaną przyszłość będzie miał również z Jeleniem.

ZDROWIE: Najczęściej nie wierzy, że może go dotknąć jakaś choroba. Nadmiernie eksploatuje swój kręgosłup.

NIED•WIED• (22.VIII-21.IX)

Należy do najbardziej obowiązkowych ludzi. Rzadko się spóźnia i tłumaczy. Czasami jednak zbyt wiele ma pretensji i lubuje się w krytykowaniu innych. Jest wymagający w stosunku do siebie i otoczenia. Stara się przewidzieć najbliższą przyszłość, aby nie popełnić głupich błędów. Nigdy nie działa pod wpływem przypadkowego impulsu. Dąży do spokojnego i dostatniego życia.

UCZUCIA: Bardzo długo ukrywa swoje uczucia. Nie lubi się deklarować, gdy nie jest pewien. Pod maską zimnego cynika kryje się wielki romantyk. Zrozumie to najlepiej Bóbr, Gęś, z którymi stworzy podstawy solidnego związku.

ZDROWIE: Jego wadą jest mała odporność psychiczna na wszelkie niepowodzenia. Często choruje na żołądek.

KRUK (22.IX-22.X)

Najlepiej nadaje się na negocjatora, gdyż najważniejsze dla niego jest harmonijne życie. Słucha opinii innych, dzięki czemu z łatwością rozwiązuje konflikty. Nie należy do szaleńców, którzy w jednej chwili zmieniają historię. Potrzebuje wokół siebie ludzi. Jego poczucie estetyki odzwierciedla się w ubiorze i zewnętrznym postrzeganiu ludzi.

UCZUCIA: Jego przekleństwem jest samotność. Pomimo flirciarskiej natury, woli żyć w stałym związku. Będzie zdecydowanym przeciwnikiem rozwodów. Najlepiej zrozumie się z drugim Krukiem, Jeleniem, Wydrą i Łososiem, którzy będą go wspierać.

ZDROWIE: Często ma kłopoty z nerkami i słabym krążeniem w nogach. Więcej uwagi powinien poświęcać plecom i miednicy.

WĄŻ (23.X-22.XI)

To typ zdobywcy za wszelką cenę. Musi wszystko zgłębić niezależnie od poniesionych ofiar. Zalicza się do perfekcjonistów z ambicjami. Charakteryzuje go spora intuicja, która objawia się zdolnościami przewidywania. Swego partnera może doprowadzić do depresji, jeśli jest on od niego charakterologicznie słabszy. Umie jednak głęboko kochać i pomagać.

UCZUCIA: Należy do zaborczych partnerów. Związek traktuje poważnie – aż do śmierci. Oczekuje ciągłych dowodów miłości, które przyjmuje z euforią. Ich brak wyprowadza go z równowagi. Powinien związać się z Wilkiem, Sokołem lub Niedźwiedziem.

ZDROWIE: Nie za bardzo umie kontrolować swoje emocje, czego bezpośrednim objawem są kłopoty jelitowe na tle stresowym.

SOWA (23.XI-21.XII)

Potrzebuje wolności i bezapelacyjnego zrozumienia. Zna odpowiedzi na najbardziej nurtujące pytania. Walczy o idee, którym poświęciła życie. Nie idzie na kompromisy, chociaż nie przeszkadza jej to otaczać się gronem przyjaciół. Jest gejzerem energii, dzięki czemu zapala innych do działań. Najbardziej lubi spotykać się z ludźmi mającymi coś do powiedzenia.

UCZUCIA: Nie jest skora do stałych związków, mimo że uwielbia związać się z partnerem. W miłości jest nieokiełznana – z nią można odkryć jak smakuje życie. Lubi skupiać na sobie uwagę. Najchętniej łączy się z Łososiem lub Wydrą.

ZDROWIE: Najwrażliwsze części ciała to biodra i uda. Ma też kłopoty z wątrobą, bo lubi sobie dobrze pojeść.

GĘŚ (22.XII-19.I)

To symbol rozsądku i opanowania. Nigdy nie podejmuje pochopnych decyzji. Wiele osób uważa, że jest nieczuła, ale to nieprawda. Gdy kogoś pozna, obdarza go pełnym zaufaniem. Zawsze ma jakiś plan do zrealizowania, do którego konsekwentnie dąży. Swojej radości nie okazuje na zewnątrz, choć umie być dozgonnie wdzięczna. Wiele czasu poświęca na własny rozwój.

UCZUCIA: W miłości wszystko traktuje na serio. Kocha głęboko, nie okazując jednak zbyt wielu emocji. Bóbr będzie jej doskonałym uzupełnieniem. Jeśli Gęś zaufa wilkowi, pożycie na pewno przetrwa wszelkie burze.

ZDROWIE: Wiele czasu powinna poświęcić uprawianiu sportu. Na wrażliwej skórze często występują u niej różne alergie.

WYDRA (20.I-18.II)

Umie zarazić swoim śmiechem nawet największego ponuraka. Jest duszą towarzystwa. Bez ludzi może się obyć, ale na krótko. Jej poczucie sprawiedliwości często jest przyczyną konfliktów. Chętnie pomaga innym - w każdej chwili gotowa jest zmieniać świat. Charakteryzuje się sporą tolerancją i poczuciem wolności. Nie lubi być ograniczana.

UCZUCIA: Najważniejsze jest dla niej porozumienie duchowe. Cała reszta jest tylko dopełnieniem. Uwielbia zachwycić się swym partnerem. Na udany związek może liczyć z Krukiem i Sową - w niej znajdzie ostoję sprawiedliwości.

ZDROWIE: Miewa kłopoty z krążeniem, która najczęściej bagatelizuje. Do późnego wieku powinna chodzić na spacery.

WILK (19.II-20.III)

Głęboko skrywa swe uczucia, mimo że umie głęboko kochać. Okazuje to raczej gestem niż słowem. Często spełnia zachcianki innych. Ma świetną intuicję, dzięki czemu łatwo rozpracowuje obcych. Często cierpi z powodu swojej łatwowierności. W domu szuka spokoju i bezpieczeństwa. To miejsce, gdzie może schronić się przed niepowodzeniami. Bywa, że zamyka się w sobie.

UCZUCIA: Bardzo trudno mu znaleźć partnera na całe życie. Związkowi jest gotów poświęcić wszystko i oczekuje tego samego od partnera. Nie lubi mówić o miłości. Na jego falach nadaje Sowa.

PRZYSMAKI „PANORAMY"

Proponuje IWONA CEBULA, współwłaścicielka restauracji „Starka" w Opolu

PRZYSTAWKA WIGILIJNA
WĘGORZ WĘDZONY W ZALEWIE OCTOWEJ

1,5 kg wędzonego węgorza bez skóry, podzielonego na 8-10 porcji, zalewa: szklanka octu (10%), 10 ziaren ziela angielskiego, 4 liście laurowe, 30 ziaren pieprzu, czubata łyżeczka cukru, płaska łyżeczka soli.

Przygotować zalewę: wszystkie składniki połączyć, wlać 3 szklanki wody i gotować 4 minuty.

Kawałki węgorza delikatnie zagrzać w piekarniku. Następnie przełożyć do słoika, zalać wrzącą zalewą, słoik zakręcić, odwrócić do góry dnem i zostawić do wystygnięcia.

DESER WIGILIJNY
PIEROŻKI MOJEJ MAMY Z SUSZONYMI ŚLIWKAMI

Ciasto na pierogi, suszone śliwki kalifornijskie – 1 paczka, suszone śliwki polskie z pestką – ok. 20 dag.

Śliwki z pestką namoczyć chwilę w gorącej wodzie z odrobiną rumu. Odsączyć na sitku, wybrać pestki i przekroić na pół. Do każdej śliwki kalifornijskiej włożyć kawałek śliwki moczonej w rumie. Ciasto cienko rozwałkować, wykrawać szklanką krążki. Na każdy nałożyć po jednej śliwce i dokładnie zlepić brzegi ciasta. Gotować w lekko osolonej wodzie ok. 8 minut.

Można podawać prosto z wody, polane roztopionym masłem lub lekko obsmażone na maśle.

WIGILIJNA PRZYSTAWKA
MUS ZE SZCZUPAKA W WĘDZONYM ŁOSOSIU

Kilogram tuszy szczupaka, 30 dag wędzonego łososia w plastrach, pół szklanki śmietany (30%), 3 żółtka, pęczek koperku, 5 łyżek oleju, sól, pieprz, do przybrania: plasterki cytryny, gałązki koperku.

Szczupaka umyć, odfiletować, obrać z ości i trzy razy zmielić w maszynce do mięsa. Śmietanę ubić na sztywno. Koperek drobno posiekać. Do zmielonej masy dodać koperek, żółtka, sól i pieprz – dokładnie wyrobić. Na koniec dodać ubitą śmietanę i delikatnie wymieszać. W garnku zagotować lekko osoloną wodę. Gałkownicę do lodów wysmarować olejem, wypełnić musem rybnym, zanurzyć we wrzątku i gotować ok. 10 min. następnie delikatnie wyjmować kulki, dokładnie obtoczyć plastrami wędzonego łososia. Ułożyć na talerzu, przybrać plasterkami cytryny i gałązkami koperku.

Mali Niemcy nie piszą listów do świętego. Biorą piórko, myślą życzenie, dmuchają i piórko mknie do Mikołaja i jego pomocników.

JAK TO ROBIĄ MIKOŁAJE W NIEMCZECH?

Mikołaje już od grudnia opanowują wszystkie niemieckie miasta. Na każdej prawie ścianie, balkonie, płocie siedzi, wspina się lub zwisa facecik w czerwonej czapie. Czasem ma świecący pompon, czubki butów, worek na plecach.

Zgodnie z prastarym zwyczajem prawdziwy święty przybędzie saniami zaprzężonymi w reny z dalekiej północy. Pojawi się tylko u grzecznych dzieci o różnych porach. Wieczorem wskoczy przez balkon lub okno, by nie budzić najmłodszych, które zasnęły zmęczone oczekiwaniem. Znowu rodzice będą się chwalić, że go widzieli.

W niemieckich domach dzieci znajdują prezenty w wielkich świątecznych skarpetach, przypiętych przy łóżeczkach lub na kominkach. Dawniej na drutach „sztrykowały" je babcie. Dziś kupuje się je w marketach. Gdy skarpety rodzice wyciągają po rocznej przerwie ze schowka, dzieciom oczy zaczynają błyszczeć – zbliża się czas świąt.

W Niemczech Mikołaj ma więcej czasu na odwiedziny, bo często przybywa 5 grudnia. Aaron Syrb, student polonistyki i germanistyki z Drezna wspomina: – Czyściłem bardzo dokładnie moje najwyższe buty z cholewami, bo mieściło się w nich najwięcej słodyczy. Nie znałem tradycji skarpetkowej. Wieczorem 5 grudnia stawiałem buty pod drzwiami pokoju i zawsze rano znajdowałem w nich prezenty.

PIÓRKO Z ŻYCZENIEM

Mali Niemcy nie piszą listów do świętego. Biorą piórko, myślą życzenie, dmuchają i piórko mknie do Mikołaja i jego pomocników. Weronika Blaum z Frankfurtu, której rodzice mieszkali kiedyś w Prószkowie, wymyśliła że rozpruje poduszkę, by mieć mnóstwo piórek. Ku jej zaskoczeniu okazało się, że w poduszkach nie ma pierza tylko skręcone nowoczesne silikony. Piórko wyciągnęła więc z puchowej kurtki taty.

Dzieci marzą, aby zobaczyć brodacza z kreskówek, więc przygotowują serię pułapek: miskę z wodą pod drzwiami, sznurek, żeby się potknął, system skomplikowanych dzwonków. Życie Mikołaja nie jest łatwe.

Marta Kulesza z Turawy też pracowała w Niemczech jako opiekunka małej dziewczynki.

– Zaskoczeniem jest to, że nie ma tu specjalnych przygotowań do świąt. Nikt nie szaleje tu ze sprzątaniem i zakupami. Za to wszyscy pieką ciasteczka – wspomina. – Rodzice razem z dziećmi pracują nad maleńkimi zdobieniami. Słodkości muszą być gotowe przed pierwszą niedzielą adwentu.

Innym szaleństwem jest zdobienie okien, domów, ogrodzeń, montowanie oświetleń. Nieznanym w Polsce obyczajem jest zapalanie czterech świeczek na wieńcu adwentowym w każdą z kolejnych niedziel adwentu.

KALENDARZE Z PYCHOTKĄ

Danka Krylska z Opola opiekowała się w Duisburgu dwójką chłopców. W adwencie słuchali kolęd. Każdy dom był oświetlony. Od 1 do 24 grudnia Darius i Helmut otwierali kolejne okienka w kalendarzach adwentowych, wyjadając ukryte tam czekoladki. Czasami zdarzała się nawet mała zabawka.

Niektóre kalendarze adwentowe ukryte mają karteczki z poradami, np. co zrobić z orzecha włoskiego – środek zjeść, skorupki pomalować na srebrno lub złoto, skleić i zawiesić na choince.

Dorośli pamiętają po latach kalendarze robione ręcznie przez kogoś z rodziny z cienkich deseczek, kartonu i kolorowych tkanin. Pisarz i dziennikarz Matthias Kneip, pracownik Instytutu Niemiecko-Polskiego w Darmstadt, wykładowca Uniwersytetu Opolskiego przed kilku laty, wspomina: – Cały rok czekaliśmy z braćmi na ten moment. Kalendarze adwentowe robiła moja ciotka. Dostawaliśmy je 5 grudnia. W każdym okienku czekała jakaś niespodzianka. Raz nawet w każdym okienku czekał jeden niebieski ludzik w białej czapce.

GRZANE WINO I ANIOŁY

Barbara Solińska z Komprachcic od kilku lat w niemieckiej rodzinie opiekuje się Martą.

– Bardzo lubię weinachtsmarkty, świąteczne kiermasze, które przeważnie trwają aż do 23 grudnia. Wieczorami wszyscy spotykają się z przyjaciółmi przy grzanym winie. Nie brakuje kiełbasek przyrządzanych na wiele sposobów i nerek wołowych, które można spróbować tylko w tym czasie – opowiada Basia. – Nikomu nie przeszkadza brak śniegu. Wszędzie kręcą się anioły.

BEATA DŻON

Są takie momenty, gdy Święty Mikołaj wzbudza hiserię

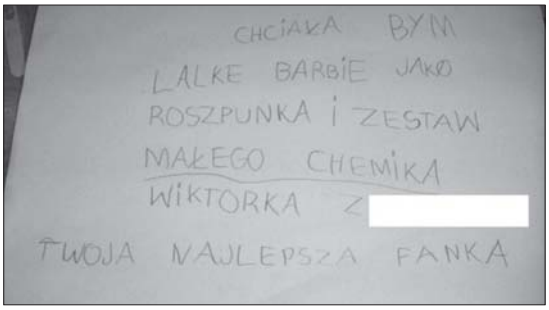

Do Pinokia przyszedł Mikołaj. Rozdał wszystkim w domu prezenty i rozmawia z Pinokiem:

- O! ...widzę, że nie cieszysz się z tego zwierzątka, które ci podarowałem.

- Bo ja chciałem pieska albo kotka!

- Niestety zabrakło! ...inne dzieci też nie dostały.

- Ale ja się boję tego bobra!

Święty Mikołaj czyta listy od dzieci. Otwiera jeden: "Mikołaju, Mikołaju, czyś ty z lasu, czyś ty z..."

- Eeee, to czytałem, myśli Mikołaj i wyrzuca list do kosza. Otwiera następny: "Mikołaju nasz, dużo paczek masz, jak Cię ładnie..."

- Eeee, to już znam. Otwiera następny: "Witaj Święty Mikołaju. Pisze do ciebie Zosia Kowalska, lat 5. Proszę, Mikołaju, nie wyrzucaj tego listu i doczytaj go do końca. A najlepiej... przeczytaj dwa razy. Mikołaju, to nie spam, to realny sposób na zarobienie pieniędzy...".

Czasami do Świętego Mikołaja wpada jego brat. Któryś z elfów musi mu ustąpić posłania.

Na jego grobie stoi sklep spożywczy

Najsławniejszym fotografikiem opolskim był bez wątpienia Max Glauer. Urodzony w roku 1867 we Wrocławiu, jako kilkunastoletni chłopiec zainteresował się fotografią. Do Opola przybył w roku 1893 i na ulicy Krakowskiej pod numerem 34a otworzył swe fotograficzne atelie. Szybko zdobył w mieście renomę jako znakomity portrecista.

Na początku XX wieku zaczął Glauer zdobywać sławę także daleko poza granicami miasta. Nie było bodaj roku by opolski mistrz fotografii nie przywiózł ze świata jakiejś znaczącej nagrody. Wygrywał konkursy i wystawy fotograficzne w Moskwie, Petersburgu, Sztokholmie, Rydze, Berlinie. Sukcesy i zagraniczne splendory Glauera spowodowały, iż stał się najpopularniejszym opolskim fotografikiem. Bogaci i wpływowi opolanie szczycili się portretowymi fotografiami z atelie Glauera.

Max Glauer nie był fotografikiem zamykającym się w czterech ścianach swej pracowni. Dźwigając ciężki stelaż i aparaty, wędrował rokrocznie po Śląsku, fotografując młode dziewczyny w regionalnych strojach, starki w mazelonkach, spracowanych rolników. Ubrany z miejska, z wygoloną czaszką i siwą bródką budził ciekawość i sensację we wsiach i miasteczkach, a raz nawet został aresztowany pod zarzutem wykonywania fotografii szpiegowskich.

Glauer fotografował ludzi prostych, ale także i wielkich tego świata – cesarza Wilhelma II i czeredę pomniejszych książąt, prezydenta Friedricha Eberta, noblistę Gerharta Hauptmanna, wrocławskiego metropolitę kardynała Bertrama, feldmarszałka – prezydenta Paula von Hindenburga, Adolfa Hitlera i jego kompatriotów.

Dom przy ówczesnej Krakauerstrasse 34a był nie tylko pracownią znakomitego fotografika. Był także salonem sztuki i swoistym klubem dyskusyjnym, do którego na dysputy zachodzili opolscy ludzie nauki i kultury. Centralną postacią tych dysput był gospodarz improwizujący na fortepianie, niknący w cygarnianym dymie i z maestrią opowiadający pieprzne dowcipy.

Bywali w salonie Glauera literaci Nowinski, Niekrawietz i Koehler, który po latach utrwalił dom Glauera we wspomnieniach. Bywał zapewne młody rabin Baeck, pracujący wówczas nad świetną rozprawą o istocie judaizmu, bywali i inni nie godzący się na nijakość i marazm panujący w gnuśnym zurzędniczonym Opolu.

Schyłek życia znakomitego fotografika był smutny. Stracił ukochaną żonę, ze smutkiem i żalem obserwował początki rządów hitlerowskich i kres dawnego tolerancyjnego Opola. Nie ucieszył go nawet urządzony hucznie jubileusz półwiecza pracy artystycznej. Zmarł w sierpniu 1935 roku, dwa tygodnie po swych 68 urodzinach. Pochowany został obok żony na cmentarzu przy Wrocławskiej.

Niewiele dziś zostało w Opolu po Maxie Glauerze. Grób artysty zniszczono po wojnie, na miejscu jego domu stoi dziś sklep spożywczy, spuścizna artystyczna została rozproszona. I tylko kilkanaście fotografii zamieszczonych w książce Wasylewskiego „Na Śląsku Opolskim" przypomina o artystycznym kunszcie jednej z najbardziej legendarnych postaci dawnego Opola.

MB

Traktat wzmacnia Unię

Opolskie Centrum Rozwoju Gospodarki

Rozmowa z Eweliną Markowską, konsultantką Punktu Informacyjnego Europe Direct-Opole

– Co to jest traktat lizboński, czego i kogo dotyczy oraz dlaczego nie jest łatwą lekturą?

– Traktat lizboński jest odpowiedzią na potrzeby i problemy rozszerzonej Unii Europejskiej. Zmiany instytucjonalne i organizacyjne, które wprowadza, usprawniają jej funkcjonowanie. Wpływają one na życie każdego obywatela UE. Traktat lizboński jest bardzo obszernym dokumentem, liczącym ponad 300 stron i regulującym bardzo wiele obszarów działania wspólnot europejskich. Do tego napisany jest precyzyjnym prawniczym językiem, co sprawia, że jego lektura jest bez wątpienia bardzo trudna i wymaga wiele cierpliwości.

– Kiedy i w jaki sposób traktat lizboński wszedł w życie?

– Po kilkuletniej walce europejskich polityków i pokonaniu wielu przeszkód – wszedł w życie 1 grudnia. Wcześniej musiało go ratyfikować wszystkie 27 państw członkowskich Unii Europejskiej.

– Czy Europa w obecnym stanie potrzebuje na pewno traktatu lizbońskiego? Czy zwiększy się dzięki temu jej znaczenie na arenie międzynarodowej?

– W latach siedemdziesiątych Henry Kissinger spytał, do kogo ma zadzwonić, kiedy chce skontaktować się z Europą. Dopiero teraz, dzięki traktatowi lizbońskiemu, na mocy którego do życia powołane zostały dwa nowe stanowiska: przewodniczącego Rady Europejskiej, który będzie reprezentował UE na zewnątrz, oraz wysokiego przedstawiciela Unii ds. zagranicznych i bezpieczeństwa, Unia będzie przemawiała jednym głosem, przez co jej siła oddziaływania powinna znacznie wzrosnąć.

– Czy zadaniem traktatu jest stworzenie europejskiego superpaństwa?

– Zasadniczym zadaniem traktatu jest wzmocnienie UE, usprawnienie jej funkcjonowania i wzmocnienia jej znaczenia na arenie międzynarodowej, jednak integracja polityczna pomiędzy państwami członkowskimi wciąż nie jest na tyle silna, aby można było mówić o powstawianiu superpaństwa. I choć traktat zawiera listę wartości, na których opiera się Unia, a także jej celów i kompetencji, nie ma w nim wzmianki na temat hymnu lub flagi UE – podstawowych atrybutów każdego państwa.

– Wejście w życie traktatu lizbońskiego oznacza zmiany, które na pewno odczują europejscy obywatele, jakie to zmiany?

– Wraz z momentem wejścia w życie traktatu, obywatele Unii zyskują prawo tzw. europejskiej inicjatywy obywatelskiej, co oznacza, że mogą zwracać się do Komisji Europejskiej z propozycjami wprowadzenia nowych przepisów prawnych lub zmiany istniejących. Ponadto dzięki nadaniu Karcie praw podstawowych statusu aktu prawnie obowiązującego zagwarantowano obywatelom UE lepszą ochronę ich praw osobistych, obywatelskich, politycznych, ekonomicznych i socjalnych. Wielka Brytania i Polska uzyskały przyjęcie dodatkowego protokołu do Karty, na mocy którego obywateli tych krajów nie będą obejmowały postępowania przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka.

– Co jeszcze reguluje traktat?

– Kwestie wzajemnego wsparcia państw członkowskich w przypadku występujących na obszarze UE klęsk żywiołowych lub katastrof spowodowanych przez człowieka, takich jak powódź lub pożary lasów. Traktat wprowadził również wspólne działania na rzecz walki z grupami przestępczymi zajmującymi się przemytem ludzi przez granice oraz zasady mające na celu zapobieganie zjawisku turystyki azylowej i zwalczanie terroryzmu.

– Istnieją jednak wątpliwości, czy nie zostanie osłabiona zdolność państw członkowskich do prowadzenia niezależnej polityki zagranicznej.

– Wprowadzone przez traktat zmiany mają na celu wpłynięcie na postrzeganie UE przez inne państwa świata jako spójnej całości. Podejmowane na szczeblu europejskim działania i decyzje prezentowane będą światu jednym głosem. Stworzenie wspólnej polityki zagranicznej w stosunku do państw trzecich nie oznacza jednak, że państwa członkowskie tracą prawo do kreowania własnej polityki zagranicznej, która jest zresztą jednym z najważniejszych atrybutów suwerennego państwa.

– Jakie ulepszenia w obszarze wymiaru sprawiedliwości i spraw wewnętrznych wprowadza traktat lizboński?

– Dzięki postanowieniom traktatu z Lizbony możliwa będzie skuteczniejsza walka z przestępczością międzynarodową, nielegalną imigracją, przemytem ludzi i broni. Kwestie te są szczególnie ważne z punktu widzenia Polski, ponieważ jej wschodnia granica jest jednocześnie granicą UE, która musi być szczególnie chroniona. W nowych przepisach podkreśla się również poszanowanie dla zróżnicowania systemów i tradycji prawnych państw członkowskich. Przewidziano w nich tzw. hamulec bezpieczeństwa, który umożliwia państwom członkowskim odstąpienie od zasad sprzecznych z podstawowymi normami jego wymiaru sprawiedliwości w sprawach karnych.

– Jakie główne zmiany instytucjonalne wprowadza traktat lizboński?

– Poza utworzeniem nowych stanowisk przewodniczącego Rady Europejskiej oraz wysokiego przedstawiciela Unii ds. zagranicznych i bezpieczeństwa (którym będzie wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej), traktat lizboński wzmacnia też rolę Parlamentu Europejskiego w procesie podejmowania decyzji. Ponad 40 nowych obszarów, w tym: rolnictwo, polityka energetyczna, imigracja i unijne fundusze będzie podlegać procedurze współdecydowania unijnej rady ministrów i Parlamentu Europejskiego. Parlament zyskuje też ostatnie słowo w sprawie budżetu UE. Jednocześnie traktat nadaje Radzie Europejskiej pełen status instytucji unijnej i dookreśla jej rolę. Rada UE, główna instytucja prawodawcza UE, będzie częściej przyjmować akty prawne i decyzje większością głosów (a nie – jak dotychczas – jednomyślnie), co skróci i uprości proces legislacyjny.

europe direct Opole

Chcesz dowiedzieć się więcej na temat traktatu lizbońskiego i funkcjonowania Unii Europejskiej?
Skontaktuj się z Punktem Informacyjnym Europe Direct Opole,
działającym przy Opolskim Centrum Rozwoju Gospodarki.
Punkt informacyjny Europa Direct – Opole, tel. +48 77 403 36 43

Opole 45-716, ul. Spychalskiego 1a
europe-direct.opole@ocrg.opolskie.pl
bezpłatna infolinia 00 800 67891011 (numer jednakowy dla wszystkich krajów UE)
Godziny otwarcia: pn.-pt. 7.30-15.30

TŁUMACZENIA
WSZYSTKIE JĘZYKI
Lingo BIURO TŁUMACZEŃ
Opole, ul. Ozimska 40/312 (naprzeciw Galerii Opolanin)
tel. + 48 077 442 67 98, kom. + 48 661 308 390
www.lingo.opole.pl ☆ biuro@lingo.opole.pl

MULTI KOMIS
w Opolance - Przemysłowy
wyposażenie mieszkań * RTV-AGD
* art. przemysłowe * meble
wyposażenie sklepów różnych branż
ZA ATRAKCYJNE TOWARY PŁACIMY GOTÓWKĄ
Niektóre artykuły odbieramy na własny koszt
Opole-Zachód, ul. Dworska 2
tel. 077 44 190 48

FUJIFILM
STUDIO FOTOGRAFII CYFROWEJ
FOTOGRAFIKA FOTO-CENTRUM
- Wakacyjne zdjęcia cyfrowe najwyższej jakości
- Zdjęcia przez Internet
- Zdjęcia do wszystkich dokumentów
- Pomysł na prezent: foto-kubek, foto-koszulka, foto-puzzle i inne
- Foto-albumy wg niemieckiego systemu Clixx Pixx
OPOLE
www.fotografika.opole.pl
ul. Ozimska 18
ul. Sosnkowskiego 6/40 (Skaut)
ul. Niemodlińska 23/26 (AS)

KRÓL KREDYTY
KRÓLewski kredyt - tylko u KRÓLA!
HIPOTECZNY
- Preferencyjny kredyt mieszkaniowy z dopłatą rządową
- „Łatwa konsolidacja + łatwa gotówka" - złóż oświadczenie o dochodach i spłacaj tylko jeden kredyt
- Druga hipoteka - drugi kredyt hipoteczny na tą samą nieruchomość do 130 % jej wartości
- Mix hipoteczny - jednym kredytem załatwisz więcej - remont + spłata kredytów + gotówka na dowolny cel
- Budowa, remont, wykończenie - bez faktur
- Honorujemy opóźnienia w spłacie kredytów do 90 dni
GOTÓWKOWY
- wystarczy, że oświadczysz wysokość swoich dochodów (min 500 zł.)
- bez zgody współmałżonka do 20 000 zł.
- dobrowolne ubezpieczenie od ryzyka utraty pracy i następstw nieszczęśliwych wypadków
- atrakcyjne oprocentowanie
KONSOLIDACYJNY
- bez zaświadczeń z innych banków o stanie zadłużenia
- konsolidujemy wszystkie rodzaje zobowiązań - kredyty konsumpcyjne, karty kredytowe, kredyty w ROR, chwilówki
- bez ograniczeń wiekowych
Honorujemy dochody z zagranicy (kontrakty, działalność gospodarcza)
Wykwalifikowani doradcy poprowadzą Twoje sprawy kredytowe również w trakcie spłaty kredytu - jak długo będziesz chciał - za darmo!
OPOLE UL. OZIMSKA 42
tel./fax 077-44 25 170, 606 63 63 22
Bezpłatna infolinia 0800889995
www.krolkredyty.pl, skype: krolkredyty.pl
Zapraszamy od pn-ptk w godz. 9.00 - 17.00
Złóż wniosek przez Internet lub telefon (koszt rozmowy bierzemy na siebie).
UFAJ TYM, KTÓRYCH ZNASZ

GeopardCMS
www.geopard.pl
System zarządzania treścią
Serwisy WWW
OPROGRAMOWANIE dedykowane
elastyczny i tani HOSTING
pozycjonowanie stron - SEO
REKLAMA i e-marketing
konkurencyjne CENY
GWARANTOWANA JAKOŚĆ usług
nsf.pl Usługi Informatyczne
Zadzwoń: +48 077 544 97 88
lub napisz: biuro@nsf.pl
Więcej informacji na: www.nsf.pl
REKLAMA